NOWOŚCI ILLUSTROWANE



Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VI. Kraków, 25 grudnia 1909. Nr. 52.

Polska kolęda.

(Treść na str. 2)

Nr. 52. „Nowości illustrowanych" zawiera: Pokonanie obstrukcyi. — „Schronisko kobiet" we Lwowie. — Królewska siedziba sportów zimowych. — Staroegipska tancerka. — Wielka katastrofa kolejowa. — Sport myśliwski w Antoninach. — Laureaci Nobla. — Caruso przed ożenkiem. — Otwarcie Barbakanu.

Pomnik Jagiełły w Krakowie. — Zgon króla belgijskiego. — Skandale warszawskie.

Numer dzisiejszy liczy 32 stron.



Od Administracyi.

Numerem niniejszym zamykamy czwarty kwartał szóstego roku wydawnictwa. Naszych Czytelników i Prenumeratorów prosimy tedy o dalsze poparcie i o rychłe odnawianie przedpłaty na rok następny, a to celem uregulowania nakładu.

Prenumeratorom z Galicyi dołączamy w tym celu do dzisiejszego numeru czeki pocztowej kasy oszczędności, co ułatwi im znacznie wysyłkę pieniędzy i oszczędzi kosztów porta.

Prenumerata „Nowości illustrowanych" na cały rok z przesyłką pocztową wynosi zaledwie 16 kor., półrocznie 8 kor., a kwartalnie 4 korony, już z prawem udziału w losowaniu o nagrody za rozwiązanie wielkiej szarady.

W Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjkiem można „Nowości illustrowane" prenumerować w biurze

G. UNGRA, w Warszawie,

Aleja Jerozoliska 78,

jakoteż we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Prenumerata wynosi: w Warszawie 1 Rbs. 80 kop., na prowincyi już wraz z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop.

Zwracamy uwagę wszystkich P. T. Czytelników na str. 24 dzisiejszego numeru. Znajduje się tam **wielka Szarada** o nagrody łącznej wartości 5.000 koron.

Wszyscy nowi Prenumeratorrzy otrzymają bezpłatnie początek drukującej się obecnie w „Nowościach illustrowanych" powieści p. t. „Człowiek bez twarzy".

Od Wydawnictwa!

Wszystkim naszym P. T. Prenumeratorom, Czytelnikom Korespondentom i Przyjaciołom zasyłamy tą drogą serdeczne życzenia

„Wesołych Świąt!"



Polska kolęda.

I.

Idzię Panna Najświętsza przez świat,
Idzie z małem dzieciątkiem na ręku.
Święty Józef, towarzysz od lat, |
Chociaż stary, wraz z nimi bez lęku
Kroczy w strony dalekię i zimne,
Gdzię rozsiadły się chałupy dymnę!

Mój Jezusku, Jęzusienku mały
— Rzęcze Matka Najświętsza do Syna —
Oto idziem, gdzie ból oniemiały
Nie wie, co jęst już kara, co wina,
Gdzie od mnogich, mnogich lat niewola
Lud spętała i przysiadła pola...

Oto idziem w dziędziny, gdzię lud
Twojem jeszczę imieniem oddycha,
Twojem mianem karmi słońca głód
I choć ręka mu w trudach usycha,
Serce wiarą się poi i rośnię
W kwiat przedziwny, kwitnący radośnie!...

Gdy tak mówiła Najświętsza Panna,
Gdy się Dzięcię wsłuchuję w Jej słowa,
Gwiazda wstaje na niębie zaranna,
Za nią zorza się budzi różowa
I zalewa z mgieł utkaną bielą
Pola, co się od Karpat w dal ścielą.

Gdy tak idąc, litując się doli,
Co się polskiej chwyciła krwawicy
I jak osęt wpiła się do roli — —
Doszli, doszli, do pruskiej granicy
I stanęli — i kraj powitali,
W którym sęrce, jak morzę się żali...

II.

Hej, prusackie bagnęty tu lśnią
Na granicy lśnią pruskię bagnęty...
Dziecko, krzycząc „Jezu!", bluzga krwią,
Tam gdzieś matka kona, krzycząc: „rety!"
Indziej chłopa, jak psa z budy pędzą,
By się kumał z ostatnią już nędzą....

Płacz tu wieczny, więczny jęk i szlochy,
Wieczna zbrodnia i gwałt krwią ciekący,
Na tęj ziemi jęczą nawęt prochy,
Trup tu cięrpi pod ziemią milczący,

Ziemia stygnię, gdzie prusak się zwróci,
Drzewa błędną, jak ludzię potruci.

...Wali, wali niezliczony tłum
W noc świąteczną witać miłych gości;
Płyną chóry kolędowych dum,
I bogaci i więlcy i prości,
Wszyscy spieszą przywitać Dziecinę,
Która dobrą przynosi nowinę.

I choć żandarm przystępu im broni,
Choć bagnetem rozdzięlić ich pragnie,
Nikt sęrdecznych myśli nie dogoni
I nikt wiary pod bagnet nie nagnie...
Z tą Dzięciną i Matką przęczystą
My pakt mamy — umowę wieczystą...

Tu mieszczanin, tu szlachcic, tu chłop,
A tam kapłan, dzieci i niewiasty...
Z dworów, z miast i plębanij i szop
Cały tłum się tu zebrał kraciasty
I przymięrze odnawia i płacze,
Ofiarując Dzięcinie rozpacze...

Ach, dzień świta... dzień świta radosny...
W sęrcach pieśń się zbudziła szalona
I upojna, jak pierwszy dzięń wiosny,
Pięśń o dzikim Krzyżaku, co kona
Na zielonych na polach Grunwaldu,
Na zięlonych na polach Grunwaldu...

G.

Od Redakcyi!

Podejmując przed sześciu laty wydawnictwo „Nowości illustrowanych", wśród ciężkich bardzo warunków, nie przypuszczaliśmy zaprawdę, że uda się nam osiągnąć w krótkim bardzo czasie tak nadspodziewanie piękne, tak wprost w stosunkach wydawniczych polskich a zwłaszcza galicyjskich imponujące rezultaty.

Boć śmiało dziś, z dumą i z głębokiem wewnętrznem zadowoleniem stwierdzić możemy, iż udało nam się z „Nowości illustrowanych" stworzyć jedyne na prawdziwie europejskim poziomie znajdujące się pismo obrazkowe polskie. informowane bardzo szybko, bardzo dokładnie i z zupełną bezstronnością, a w duchu szczerze narodowym prowadzone.

Rozpoczynając siódmy rok naszej pracy publicystycznej, z otuchą patrzymy w przyszłość i serdecznie się cieszymy, widząc, jak nasze „Nowości illustrowane" coraz skuteczniej konkurują z zagranicznemi pismami tego rodzaju, jak szybko je z naszych domów, z naszych kawiarń i restauracyi wypierają.

Oparci na kilkuletniem doświadczeniu, a przedewszystkiem na życzliwości ze wszech stron nam okazywanej, oparci na tysiącach naszych Przyjaciół i Prenumeratorów, rozpoczynamy z najlepszemi chęciami nowy rok ciężkiej ale sympatycznej i wdzięcznej pracy.

Spodziewamy się też, że ten nowy, **siódmy** z rzędu rok wydawnictwa, będzie niejako epokowym i że pismo nasze stanie się jeszcze popularniejsze, niż dotychczas. Coraz szersze bowiem zatacza kręgi sieć naszych korespondentów-fotografów w kraju i zagranicą, tak że każdy numer naszego pisma przynosić będzie wszystkie interesujące i aktualne illustracye z całego świata i będzie znakomitym komentatorem telegraficznych i telefonicznych wiadomości, przeczytanych w ciągu tygodnia w dziennikach.

W dziale belletrystycznym, cieszącym się ogromną wziętością zwłaszcza wśród naszych Czytelniczek, ukończymy naprzód druk dwóch rozpoczętych w tym roku sensacyjnych powieści, a to „**Człowiek bez twarzy**" i „**Wydrążona igła**".

Na wiosnę zaś rozpoczniemy druk nowej, oryginalnie napisanej i przeznaczonej wyłącznie dla **„Nowości illustrowanych"** powieści jednego z najwybitniejszych polskich powieściopisarzy, którego dotyczasowe utwory witane były zawsze w najszerszych kołach z ogólnem zadowoleniem. Mamy też w zapasie kilka powieści tłómaczonych, rzeczy zupełnie nowych, które w literaturze zagranicznej zyskały ogromne powodzenie.

Stale będziemy informować naszych Czytelników o najważniejszych wypadkach w dziedzinie nauki, sztuki i literatury, jakoteż w dziedzinie młodego naszego, ale coraz piękniej się rozwijającego sportu, tak aby pismo nasze było naprawdę odzwierciedleniem całego polskiego życia, a więc politycznego, społecznego, ekonomicznego, literackiego i sportowego.

Pod względem technicznym nastąpią też poważne zmiany na lepsze, zarówno w dziale illustracyjnym jak drukarskim.

Nasz zakład cynko-graficzny zaopatrzyliśmy mianowicie w ostatnich dniach w kilka najnowszego systemu aparatów, które pracę nie tylko ułatwią, ale i udoskonalą, tak że klisze nasze w zupełności dorównają najlepszym wyrobom cynko-graficznym zagranicznym.

Kosztowne te reformy podjęliśmy w nadziei, że Czytelnicy nasi i Prenumeratorowia darzyć nas będą nadal tymi względami, którymi dotąd zawsze się cieszyliśmy i że usiłowania nasze przez rozszerzanie pisma w kołach swoich znajomych wydatnie poprą.

Schronisko kobiet we Lwowie.

Bardzo pożyteczną i prawdziwie humanitarną instytucyę pozyskało miasto Lwów w otwartem przed kilku dniami „Schronisku kobiet“. Instytucyę tę powołało do życia stow. „Ochrona kobiet“, uzyskawszy od gminy wydatną na ten cel subwencyę.



Pomnik Jagiełły w Krakowie: Ignacy Paderewski, fundator pomnika.

Wspomniane stowarzyszenie dąży do założenia we Lwowie i w całym kraju posterunków międzynarodowej Ligi zwalczania handlu dziewczętami. Liga ta objęła swą działalnością cały już prawie świat, a jedynie w naszym kraju nie ma przedstawicielstwa. Tymczasem właśnie w Galicyi handel żywym towarem kwitnie w najlepsze, a walka z niesumiennymi handlarzami jest bardzo utrudniona z powodu niskiego naogół poziomu oświaty. Zadanie międzynarodowej Ligi podjęła „Ochrona kobiet“, a jednym z najpiękniejszych owoców jej dotychczasowej działalności jest założenie „Schroniska kobiet“.

„Schronisko“ mieści się w domu przy ul. Zamarstynowskiej l. 30 i ma służyć ubogim dziewczętom, przybywającym do Lwowa w poszukiwaniu służby lub zarobku. Te bowiem dziewczęta padają najczęściej ofiarą niesumiennych handlarzy.

W uroczystości otwarcia „Schroniska“ wzięli udział przedstawiciele miasta, prezydent Ciuchciński i wiceprezydenci dr. Rutowski i Epler, delegaci kilku stowarzyszeń humanitarnych i oświatowych oraz wydział tow. „Ochrona kobiet“. Obecnych powitała zastępczyni przewodniczącej, rektorowa Pawlewska, określając cele stowarzyszenia i wskazując jego potrzeby. Przemawiał następnie prezydent Ciuchciński, życząc pożytecznej instytucyi rozwoju i przyrzekając poparcie ze strony miasta.

Zaznaczyć w końcu należy, że wkrótkim czasie, od jakiego „Schronisko“ istnieje, udzieliło ono pomocy około 100 osobom.



„Schronisko kobiet“ we Lwowie: Grono uczestników uroczystości „Schroniska“, z przewodniczącą p. Liliehową (X) w pośrodku. 1. prezydent Ciuchciński, 2. wiceprezydent dr. Rutowski, 3. wiceprezydent Epler, 4. redaktorka „*Małego Światka*“ A. Lewicka, 5. zast. przewodniczącej rektorowa Pawlewska.

Nowy zastępca delegata w Krakowie.

W połowie grudnia b. r. rozpoczął urzędowanie w krakowskiem starostwie jako zastępca delegata namiestnictwa sekretarz dr. Władysław Wróblewski, powołany na to stanowisko ze Lwowa. Przeniesienie



Otwarcie Barbakanu: Wnętrze historycznego zabytku.



Pomnik Jagiełły w Krakowie: Plac Matejki, na którym projektowane jest ustawienie pomnika.

dra Wróblewskiego ze Lwowa do Krakowa nastąpiło przedewszystkiem z tego powodu, iż habilitował się na uniwersytecie Jagiellońskim jako docent administracyi i prawa administracyjnego, trudnoby mu więc było spełniać obowiązki docenta na uniwersytecie krakowskim, mieszkając stale we Lwowie.

Wiadomość o powołaniu dra Wróblewskiego do Krakowa przyjęto we Lwowie z dużym żalem, w ciągu kilkuletniego bowiem tam pobytu zaskarbił sobie młody ten a bardzo dzielny urzędnik ogólną sympatyę i życzliwość tych wszystkich, z którymi bądź w charakterze urzędowym, bądź w życiu towarzyskiem się stykał.

Dr. Wróblewski był od 1901 r. przydzielony do prezydyum namiestnictwa, przez rok też był współpracownikiem „Gazety Lwowskiej“. A kiedy niedawno namiestnik utworzył informacyjne biuro prasowe, dr. Wróblewski został jego kierownikiem. Zwłaszcza też na tem stanowisku, niewątpliwie trudnem i odpowiedzialnem, potrafił dr. Wróblewski okazać zalety charakteru i umysłu, jako człowiek taktowny, uprzejmy i uczynny, jako urzędnik o szerszych poglądach, nie zasklepiający się w biurokratycznych formułkach.

Starostwo krakowskie zyskuje więc w dr. Wróblewskim siłę bardzo wybitną, a uniwersytet Jagielloński, którego nowy docent jest wychowankiem, profesora wysoko utalentowanego i wykształconego.

Witając p. Wróblewskiego na nowem stanowisku, życzymy mu serdecznie, by wśród towarzystwa krakowskiego zjednał sobie tę samą sympatyę, co we Lwowie.



Pomnik Jagiełły w Krakowie: Plac Bernardyński pod Wawelem, na którym projektowane jest ustawienie pomnika.



FELIKS GWIŻDŻ.

KOŃ TROJAŃSKI.

OBRAZEK WIGILIJNY.

Było mi zimno, bardzo zimno. Drugi tydzień nie ogrzewałem już mojej rezydencyi kawalerskiej, spozierającej dumnie i górnie z wysokości trzeciego piętra na zaśnieżoną, białą ulicę. Nie było za co kupić patyka, a kredyt mój w sklepiku nie mógł sięgać wyżej ponad przekroczone już dawno 20 koron. Leżałem tedy w łóżku i prawie nie wyłaziłem z pod kołdry. Gdzież miałem iść? Gdzie, po co? Kto na mnie czekał? Komu byłem potrzebny? Sam byłem. Osamotnienie wlokło się za mną równie skrzętnie i wiernie, jak bieda, ale to bieda gruntowna, „bez zastrzeżeń“. Tak tedy leżąc w łóżku dzień, nie wiem, który już z rzędu, oddawałem się solidnie najrozmaitszym niedorzecznościom myślowym, nie troszcząc się ani o dni ani o godziny. Wszak nigdzie mi się nie śpieszyło. Życie miasta wyłączyło mnie ze swoich granic, choć sam wmawiałem w siebie, że to ja właśnie zamknąłem bramy stolicy przed sobą. Tak, to ja — ja...

— Bo widzisz — Piotrusiu — mówiłem do siebie — ty jesteś co innego.

— Jakto — „co innego“? — egzaminowałem się.

— No, jednem słowem jesteś do tego stopnia co innego, że w całem tem mieście, uszczęśliwionem twoją wyświechtaną kołdrą, z pod której wyglądasz jak straszydło, niema człowieka, mogącego żyć z tobą. Poprostu — bratnie dusze wyjechały na księżyc...

Rzeczywiście. Gdzie się obrócę, obcy? Gdybym chciał zaciągnąć pożyczkę w wysokości — dajmy na to — 1 korony, albo dwu, nie — pięciu koron!... Boże, gdyby tak dziesięć koron zdobyć! — Ale gdyby chodziło nawet o jedną koronę, to i tej to sławne, to stołeczne, wielkie, wspaniałe, śliczne i demokratyczne miasto nie znalazłoby dla mnie.

— Mogę panu dać jedną koronę, ale pożyczyć?... Przecież ja pana pierwszy raz w życiu widzę...

— Milcz! Kark ci złamię!...

Ach, uniosłem się. To przecież tylko konwersacya „sam na sam z duszą kapłanką“... Więc bez uniesień już snuję plan nowy. Wiem doskonale, że korony, korony bez przenośni, tej małej, okrągłej, srebrnej — jeśli ją można tak nazwać — ach, tej korony niema dla mnie na świecie. Wobec tego — cóż mi pozostaje? Co mam robić? Leżeć trzeci, czwarty i piąty tydzień pod tą bezwstydnie dziurawą kołdrą, zalewać się tysiącznemi już wypocinami rzekomej herbaty, którą kupiłem jeszcze przed miesiącem? A może trzeba pisać pamiętniki? Bo ostatecznie czułem, że z każdym dniem, cicho i pomalutku łóżeczko moje niewinne stacza się w jakąś słodką. melancholijną otchłań, w najistotniejsze objęcia nieistotnej śmierci. Tak, lecz cóż *nowego* powiem w tych pamiętnikach głodomora? No co? Przecież Knut Hamsun opisał to wszystko tak ślicznie, że tylko łzami się zalewać. Jego bohater jest tak podobny do mnie, że wstydziłbym się go spotkać na ulicy i podać mu rękę. Gotów mnie nazwać „kolegą po fachu“, wziąć pod rękę i wodzić od kamienicy do kamienicy, z jednego kąta miasta w drugi kąt, od redakcyi do redakcyi... Bo tacy to lubią umieją. Napisze jakąś bzdurę i zdaje mu się, że redaktor to przeczyta, zachęci, wydrukuje, zapłaci. Tymczasem zdarza się, że czasem wydrukuje, rzadziej zapłaci, ale już chyba nigdy nie przeczyta tego, co drukuje a już bynajmniej nie zachęci do napisania drugiego artykułu. Zadaniem redaktora jest tępić grafomanię. A przecież zgodzimy się na pogląd, iż wszystko, czego redaktor sam nie napisał, jest najoczywistszą i najwstrętniejszą grafomanią.

— Czy nie mam słuszności, panie redaktorze?

— Najzupełniej podzielam pańskie zdanie — mruczałem sam do siebie, bo ostatecznie trudno wymagać, żeby mi kołdra odpowiadała, skoro redaktora nie ma pod ręką. Więc i z pamiętników nic. Zresztą i tak nie jestem zbyt interesującą figurą. Cóż jest w mem życiu takiego, coby się istotnie nadawało do czytania? Tematy mego życia już się przeżyły w czytaniu. Moje poglądy na życie muszę sobie schować do kieszeni, albowiem są za proste i zanadto miłe mnie samemu. Miłość...

II.

Tak, istotnie. Kochałem ją, kocham ją. Ale i na tej miłości — zdaje się — nic nie zarobię, bo ona mnie nie kocha, a to także ograny temat. Cóż o tem powiedzieć? Kocham, tęsknię, marzę o Tobie, szaleję, nie śpię (?), nie jem (oj, to prawda...), włóczę się po nocach (pod kołdrą) — i cóż więcej? co więcej? Tymczasem ty mnie nie kochasz, nie tęsknisz, nie marzysz o mnie, nie szalejesz, śpisz, jesz, ile ci się chce, jesz, pochłaniasz jadło...

Och, zrobiło mi się mdło. Przez okno widzę smugi dymu, wnoszące się nad kamienicami. Cisza. Nagle gdzieś podemną zaczyna huczeć piekielny stukot. W kuchni u pana radcy robi się obiad. Ach — obiad, prawda.

— Co na pierwsze?

— Jakto, co na pierwsze? Jesteś w domu, nie w restauracyi.

— Gdyby tak barszcz, barszcz rosyjski...

Po pokoju rozlewa się zapach przedziwny.

— Dziś przecież wilia...

— Wilia?

Wilia dzisiaj? Wilia? Prawdziwa wilia? I Boże Narodzenie? I święta? Boże mój. Przecież ja najzupełniej zapomniałem o tem. Przepraszam, że zapomniałem. A właśnie listonosz, oddając mi rano kartkę ze sklepiku, życzył mi wesołych świąt, strasznie długo mi życzył, jakgdyby czekał na wzajemne życzenia. To doskonałe! Wilia — a ja w łóżku! Pod kołdrą do tego. *Auf!* Wstawaj, Piotrusiu. z łóżeczka, bo wilia. Wstyd, żeby o wilii zapomnieć. Przecież to dzisiaj wszędzie choinki, światełka, pieścidełka, śpiewy, życzenia — a ja dotąd w łóżku. To skandal...

Spojrzałem jeszcze raz w okno. Miarkując po cieniach, jakie się kładły na dachach, mogła już być godzina trzecia popołudniu.

— Nic nie szkodzi, zdrzemnąłem się trochę. Zbiorę się na czas.

Począłem się gwałtownie ubierać. Nałożywszy na siebie „to i owo“, poczułem nagle dziwną, mdłą jakąś słabość. Cóż to? Czułem przecież niesłychaną wprost lekkość ciała, a równocześnie tłoczył mnie ku ziemi nieopisany ciężar. Był to niewątpliwie objaw nadmiaru szczęścia, jakiego doznałem, przypomniawszy sobie o wilii. Postanowiłem więc za wszelką cenę wypić ten kielich rozkoszy do dna, do samego dna. Nałożyłem buciki. Miny ich były wprawdzie rozbrajające, gamoniowate i smętne, lecz na to nie było rady. Ruszyłem ku oknu. I oto po raz pierwszy skonstatowałem, że nawet takie napozór potulne i powolne istoty, jak buciki, miewają swoje dąsy i kaprysy. Ugniatały mnie i ciążyły mi tak, jakby ktoś do podeszew nalał po kilka funtów ołowiu. Ten ciężar zaczął mnie wyprowadzać z równowagi. Spieszyłem się przecież. Wilia za karkiem, a buty coraz cięższe. Również i w oczach nie wszystko było w porządku. Przyzwyczajony do zawrotów głowy, nie zwracałem na nie zbytniej uwagi, ale te plamy, te zakrętasy, te smugi bezbarwne, a tak dokuczliwe, raz w raz przelatujące poprzed memi oczyma, podkopywały coraz bardziej spokój wrodzony i pogodę mego ducha. Pomimo wszystkiego o godzinie czwartej byłem już gotów. Ubrałem się. Co więcej — umyłem się nawet i uczesałem. Był to istotnie prolog godny uroczystości, na którą się wybierałem.

III.

Tak... ale dokąd? gdzie? do kogo? Sciemnia się. Latarnie coraz gęściej zaczynają migać w zimowym, białym zmroku. Z okien wytwornych, smukłych jak kobiety kamienic, biją strugi światła. Tam elektryka, tam gaz, w suterynach zwykła, naftowa lampa. Na ulicach coraz rzadziej. Sklepy zamykają z świątecznym, szybkim, radosnym hałasem. Jakiś pan pędzi cwałem do domu. Flaszki wyglądają mu z kieszeni palta z zawadyacką miną. Tramwaje już przestały chodzić. Doróżki ani na lekarstwo. Święta... No więc?

Wstałem przecież, ubrałem się, zszedłem z trzeciego piętra na ulicę i stoję tu. Rzeczywiście nie wiem, dlaczego tu stoję? Mogę przecież pójść dalej. Tak, ale... dokąd? do kogo? gdzie? Głupstwo. Nogi mają swój własny, odrębny instynkt. Zaprowadzą same, gdzie trzeba. Ale — gdzie? Właśnie to „gdzie“ jest wierutnem głupstwem. Trzeba tylko ruszyć z miejsca. Ruszam. Śnieg skrzypi mi pod nogami, mruczy coś, jakby się cieszył, że idę po nim. Latarnie mrugają na mnie filuternie. Dal ulic, przecinających się wzajemnie, woła na wszystkie strony. Każda ma swą tęsknotę i swój czar. Zda się, że na końcu każdej ulicy, w tym zacisznym, łagodnym mroku, pod jakiemś drzewem starem, obsypanem niepokalaną bielą śniegu stoi srebrny rycerz na białym koniu, z mieczem błyszczącym w ręku.

— Siadaj ze mną! — woła.

— Jedźmy!...

Mijamy bramy miasta. Pola. Białe, zasnute mroźną mgłą, dalekie pola. Pędzimy w cwał. Dokąd? Gdzie? Po co? Ach — zimna twoja ręka, rycerzu biały... Zrzucił mnie z konia, pognał sam...

Znów stoję, gdzież ja to jestem? Prawda. tutaj kawiarnia. Jeszcze otwarta. Ale zdaje się, że tam już niema nikogo. Zresztą to nic nie znaczy. O, ktoś wychodzi. Jeden, dwóch, trzech. Podpici. Ululali się, jak za Sasa. Pewnie: jak święta, to święta. Ten pierwszy odwraca się i patrzy na mnie. To pewnie szpicel. Trzeba zmykać. Dlaczego? Przecież nic mi niema do zarzucenia? Chyba — nic? A może ja za długo leżałem pod kołdrą? Paragrafy wszystko przewidują... Eh... Znów się odwraca i znów patrzy na mnie. Idzie ku mnie. Wdepnąłem.

— Serwus, Piotruś! co ty to robisz?

— Ja? ja? A cóżbym miał robić? Myślę sobie: wejść do kawiarni, czy nie wejść.

— Nie wejdziesz, bratku. Zamykają. Wykurzyli nas. Zresztą i tak czas na wilię.

— Jakże ci się, Stasiu, tak wogóle... powodzi?

— Owszem, owszem. A cóż u ciebie? Ciągle siedzisz w poezyach?

— Eh co tam... I ja zabieram się poważnie do życia.

— Ou?

— Dość już tej blagi, trzeba się chwycić roboty. Z tego i mnie i ludziom będzie jakaś korzyść.

— Nareszcie! Wiedziałem, że zawrócisz. No, szkoda, żeś wcześniej nie nadszedł. Popilibyśmy i pogwarzyli.

— Jadę.

— Teraz? gdzie?

— Właśnie... Właśnie telegram, na święta, ale uważasz, zabrakło mi i...

— No, głupstwo — dużo?

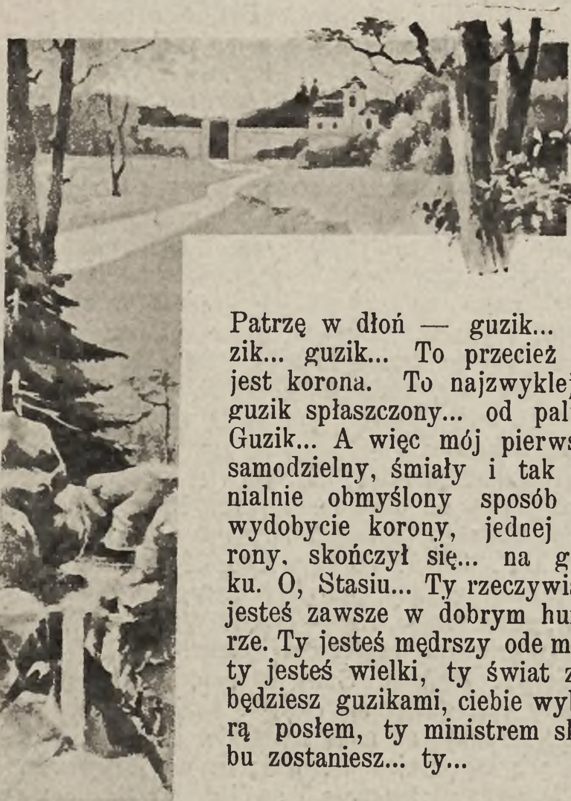
— Kor... korony... dwóch...

— Dwóch ci nie dam, bo sam mam niewiele, ale pożyczę ci jedną. Na, masz. A zajdź po świętach do kawiarni. Pogadamy. Serwus!

Poszedł. Futro leży na nim, jak na cesarzu. Buciki lśnią, jak tęcza. Idzie prosto, elegancko, niemal wykwintnie. Jest przyzwoity. Rozmawiał ze mną, ale i tamtym nie pozwolił czekać zbyt długo na siebie. Gdy zbliżył się do nich, musiał powiedzieć coś bardzo wesołego, bo wszyscy wybuchnęli piekielnym śmiechem. On zawsze był w dobrym humorze. Jeszcze na ławie szkolnej — pamiętam...

Czas i mnie w drogę. Podchodzę pod latarnię.





Patrzę w dłoń — guzik... guzik... guzik... To przecież nie jest korona. To najzwyklejszy guzik spłaszczony... od palta... Guzik... A więc mój pierwszy, samodzielny, śmiały i tak genialnie obmyślony sposób na wydobycie korony, jednej korony, skończył się... na guziku. O, Stasiu... Ty rzeczywiście jesteś zawsze w dobrym humorze. Ty jesteś mędrszy ode mnie, ty jesteś wielki, ty świat zdobędziesz guzikami, ciebie wybiorą posłem, ty ministrem skarbu zostaniesz... ty...

IV.

Komu w drogę, temu czas. Dalej! Dalej! Naprzód i śmiało. Pędzę na drugi koniec miasta. Tam właśnie sprawa się wyjaśni ostatecznie. Musi się wyjaśnić. To przecież takie naturalne, takie proste, jak dwa a dwa. Chociaż i to dwa a dwa ma swego pecha... Pocóż właściwie tam idę? Po co? To jest bez sensu. To już było. Bohater Hamsuna popełnił już wszystkie niedorzeczności, które spadły na moją głowę dzisiejszego wieczoru. Nawet nie będę oryginalny, idąc na drugi koniec miasta.

Do rynku! O — w tem jest jakaś myśl. Spotkam tego Stasinka, lunę... Bo już naprawdę „trudno inaczej“... Ba! on przecież w tej chwili łamie się opłatkiem ze swoim papą i mamą, ze swemi „nad stan“ pięknemi i urodziwemi siostrami. Tak... Siedzą sobie przy stole, w pokoju jasno, jak w teatrze, łamią się opłatkiem, życzą sobie wszystkiego dobrego, piją i jedzą. Jedzą... Co oni też jedzą? Ten ojciec jego to przecież także jakiś radca, więc musi dobrze podjeść. Naturalnie zupa. Naturalnie ryby. Ale dlaczego to nie wolno zjeść mięsa? Ja naprzykład zjadłbym z calą — że się tak wyrażę — przyjemnością, ale seryo z całą przyjemnością zjadłbym gulasz węgierski za 14 centów. Ostatecznie nie drogi to interes. Nie jestem wymagający.

— Gulasz za 14 centów. Mała porcya!

Guzik...

Prawda! Znów stoję. Trzeba przecież iść. Bo nawet wilia się już skończy. Ale cóż ja pocznę z tym guzikiem? Przecież nie wejdę z nim tak w garści. To nie wypada. Prawda — to takie proste — można go przecież rzucić w śnieg. Pies go nie znajdzie. Rzuciłem. Odrazu lżej mi się zrobiło. Teraz to już pójdę na seryo.

V.

Gdzie jestem? Straciłem miasto. Zgubiłem wszystkie ulice. Sam jestem w jakiejś potwornej, zimnej pustce. Sam. Kto mnie tu zaprowadził? Czy to ty, biały rycerzu z mieczem błyszczącym w ręku, uniosłeś mnie z miasta na białym, młodym koniu twoim? Gdzie jesteś? Czemuś mnie tutaj zostawił?

Gwiazdy się iskrzą na niebie, jak w twoich oczach łzy, gdy mija szczęście. Cisza spokojna, mroźna, po śniegu kroczy mrok, jak Twoja myśl samotna, gdy szczęście mija. Na końcach białych pól las czarny szumi, gra, jak ty, jak ty, gdy szczęście mija...

— Hanka...

Straciłem miasto. Noc pusta i głucha dokoła. Osamotnienie moje w tej nocy znajduje istotny swój wyraz. Trzeba wracać. Ten powrót mój jest zaiste stokroć większą klęską, niż powrót Napoleona z pod Moskwy. Bo miałem przecież cel jakiś, tu idąc, a przyszedłszy — zapomniałem o nim. Zapomniałem o całej drodze, o wszystkiem. Chcąc wracać, muszę wyszukiwać nową drogę. I nic już nie wiem ponad to, że dziś wilia, wilia, wilia dzisiaj.

— Hanka...

A może u niej właśnie należałoby właśnie spędzić resztę wieczoru? Tak — a rodzice? A zresztą przecież ona sama będzie się zaśmiewać ze mnie, gdy wejdę.

— Dzień dobry — powie mi, pomimo, że jest wieczór.

— Dzień dobry pani.

— Ależ to wieczór — nie uważa pan?

— Owszem. Wieczór wigilijny, panno Anno. Pozwolę sobie złożyć...

— ...najszczersze życzenia, nieprawdaż? Jaki pan serdeczny...

— Pomimo, że pani wyprzedza moje myśli, ja przecież...

— ...nie dam za wygraną —

— ...aaach... pani jest złośliwa...

— I... cóż pan napisał nowego? Może coś specyalnego na wilię?

— Pan Piotr przeczyta nam — wtrąca się matka.

— Moje poetyczne panie — odzywa się na to pan radca — ja chciałbym z moimi gośćmi zagrać w karty...

— Ach więc z wieczoru żywego słowa—nic?..

— Panno Anno...

— Nic... szkoda panie Piotrze. Może nas pan znów kiedy odwiedzi?

— Całuję rączki...

Przesadzam. Z pewnością przesadzam. Jestem przekonany, że sprawa nie wzięłaby takiego obrotu. Posadziliby mnie koło stołu — nie, koło pieca, daliby... daliby coś zjeść...

Och, jak mi zimno, jak zimno. Mróz coraz bardziej mi dokucza. Peleryna jest stanowczo za mało praktyczna na zimę. I chce mi się, chce mi się strasznie herbaty... gorącej, dobrej herbaty...

— Jeść! — krzyknąłem nagle.

Przeraziłem się sam swego krzyku. A jeśli ktoś usłyszał? Boże mój! Zacząłem pędzić w mrok jakiejś ciemnej, wąskiej uliczki, najbliższej pól, na które wybiegłem nie wiem, jak i poco. Pędzę. W oczach mych płonie tysiąc gwiazd, w głowie huczy potworna, jakby gradowa burza. Jezus Marya! Ścigam kogoś i sam przed czemś uciekam. Włosy najeżyły mi się z przerażenia.

— Dokąd?!

Skryłem się w ciemnym zaułku. Tak, teraz już wiem. To On mnie ściga, to On wodzi mnie po tych wertepach złośliwych i ciemnych zaułkach. To On — Głód — przygnał mnie tutaj i On, On pędzi mnie dalej. Ale nie ruszę stąd już ani kroku naprzód. Nie pójdę dalej. Zobaczymy, kto z nas silniejszy, kto ma większą władzę i moc.

— Wypowiadam Ci wojnę — hehe... wojnę. Cuszymę ci urządzę, ty psie wściekły.

IV.

Na którejś wieży bije zegar. Dwunasta. Jeszcze nie jest zbyt późno. Ale postanowiłem nie opuszczać mego zaczepno-odpornego stanowiska w zgniłym, w śnieżno-brązowym zaułku. Tu stoczy się bój na śmierć i życie. Usiadłem na jakimś wielkim, porzuconym kamieniu. I rycerze siedzieli, czekając na przybycie wroga. Lecz skąd, z której strony mój wróg śmiertelny nadejdzie? Trzeba czuwać, trzeba bacznie czuwać. Trzeba wytężyć wszystką siłę nerwów, by się nie dać zaskoczyć. Wytężam wzrok i słuch.

Na tym kamieniu szarym, zamarzłym do cna, zatknąłem sztandar mój. Kto będzie go mijał, ten z przerażeniem spojrzy na mnie. Albowiem od tej chwili wzrok mój zabija. Zabija na śmierć. Czekam...

Ochota walki rozgrzewa mnie. Nie jest mi już tak zimno i tak samotnie, jak przed godziną jeszcze. Jakiś nieznany mi dotąd czar, jakieś wino upojne, gorące wpływa złotymi potokami w moje żyły. Taka jest rozkosz oczekiwania bitwy zwycięskiej. Słyszę, ach jak dokładnie słyszę radosne, wiosenne niemal tętno mojej krwi młodej, niepokalanej. Słyszę, słyszę...

...Oto wojna już wypowiedziana. Na wieżach kościołów stołecznych biją poważnie, dumnie i groźnie wszystkie dzwony i sygnaturki. Wieść idzie z domu do domu, z miasta do miasta, z wsi do wsi.

Jeden jest tylko rycerz i jeden wróg rycerza. A obaj straszni i mściwi i obaj krwi swej łaknący. Któryż którego pokona? Który któremu tarcz strzaska? Pewnie zwycięży ów rycerz, co na kamieniu przydrożnym zatknął swój sztandar ponury i snom się oddał walecznym. Ten, a nie inny zwycięży, bo ten jest śmiały i dzielny, a wzrok ma, który zabija, zabija, zabija jednem spojrzeniem...

Oto jest pieśń bojowa. Miasto już całe wyległo na oświetlone ulice. Dzwony, jak burza, zawodzą, burzę zwiastując straszliwą. Pieśń się rozlega radosna, zda się, to pieśń tryumfu. Och, jak-że słodko, ta pieśń się wtula w me serce i w sercu rozkosz rozlewa, jak wino jakieś upojne....

„Wśród nocnej ciszy
Głos się rozchodzi —
Wstańcież, pasterze,
Bóg się wam rodzi“....

— Wstańcie!... — wszak wołam, wszak chcę wołać, nie mogę. Nie mogę... Ostatnie dźwięki słyszę... Nie mogę wstać, nie mogę... Och, koń trojański... koń trojański... Gdym słuchał pieśni, wszedł we mnie, zdobył... pokonał... On... On mnie pokonał...

Jak cicho...

Kraków, 1909.



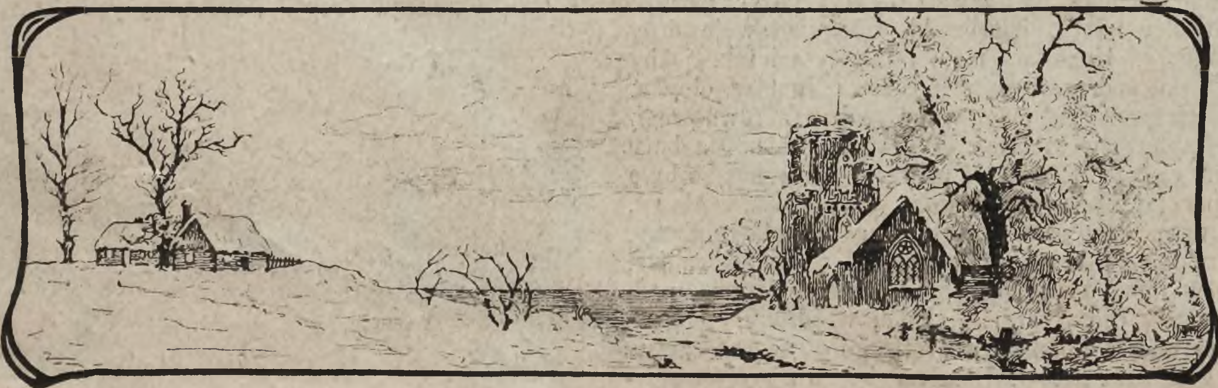
PRZECZUCIE.

Zdaje mi się, że z głową na piersi schyloną
Pójdzie za moją trumną, pierwszy raz mnie bliska,
Nieznana mi z oblicza, nieznana z nazwiska,
Nieprzeczuwana nawet pod widzeń osłoną.

Pójdzie, sama niewiedząc, czemu drży jej łono,
Czemu się do jej oczu żałosna łza wciska,
Czemu na moją trumnę chce patrzeć tak z bliska,
Czemu drgają jej usta, czemu skronie płoną?

Pójdzie, sama niewiedząc, czemu po mnie płacze,
I czemu jest zazdrosna o mnie tam, w tej trumnie,
I czemu smutna, że jej nigdy nie zobaczę?

To będzie ta kobieta, którą mnie przeznaczył
Los, ale ją zapóźno przyprowadził ku mnie,
A wpierw szczęście me zdeptał, życie moje spaczył.



Królewska siedziba sportów zimowych.

W społeczeństwie naszem z każdym rokiem budzi się coraz większe zamiłowanie do sportów. Zrozumiano, że przez odrodzenie fizyczne jest droga do odrodzenia duchowego. Na zachodzie Europy sport stał się już dawno nieodłączną stroną życia współczesnego i we wszystkich warstwach społecznych znajduje licznych i zapalonych zwolenników.

O ile latem do gier ruchowych daje się wyzyskać każdy wolny kawałek łąki, o tyle zimą sport ograniczony być musi do specyalnych terenów. Tak saneczki jak i sport narciarski wymagają terenu górzystego i dlatego zimą centrami sportu stają się okolice wysoko położone, mające stale śnieg.

W zachodnich prowincyach Austryi nie brak dziś wielu centrów sportu zimowego, gromadzących nie mniej liczne towarzystwo niż w miesiącach letnich. Prawie każda większa miejscowość posiada liczne związki sportowe, na których barkach ciąży urozmaicenie sezonu zimowego.

Galicya była jedną z ostatnich prowincyi austryackich pod względem rozwoju sportowego. Od kilku lat jednak możemy się poszczycić szeregiem organizacyi sportowych, które zdołały w społeczeństwie naszem rozbudzić już zamiłowanie do rozrywek fizycznych.

A sporty zimowe są bezsprzecznie nie tylko pod względem zdrowotnym ale i pod względem towarzyskim rozrywką pierwszorzędną. Opinia publiczna już dawno nadała sportowi narciarskiemu miano „królewskiego“, a ci, co na szybkich „łyżwicach“, jak narty górale nazywają, zdołali się wznieść ku zimą dawniej niedostępnym szczytom, ci najlepiej odczuli, ile prawdy leży w tem określeniu sportu narciarskiego.

Próżno usiłowałby kto oddać owe potężne wrażenia, na które składa się majestatyczna cisza w przyrodzie, dalekiej od ludzkiego gwaru i zgiełku — i widok łańcucha gór, ktore podawszy sobie ręce, kąpią się w złotych promieniach słońca! Ta masa wrażeń, ta imponująca swą ciszą i grozą przyroda górska, ciągnie nie tylko młode pokolenie ale i starszych, którzy z radością korzystają z niedzieli i świąt, by wyruszyć w góry i rozkoszować się zjazdami po niebotycznych pasmach, zasłanych głęboko puchem niepokalanej bieli.

Zakopane — przyznają to i obcy — jest jedną z miejscowości, nadających się do uprawiania sportów zimowych tak ze względu na swe położenie centralne, jak i ze względu na swe położenie geograficzne. Przez 5 miesięcy bez przerwy leży tam śnieg. Zasłonięte należycie ze wszystkich stron, posiada Zakopane klimat niezwykle łagodny jak na swe położenie pod względem wysokości.

Liczne hotele i pensyonaty zapewniają turystom nie tylko wygodę ale i komfort. Roztaczająca się od strony północnej tuż nad Zakopanem Gubałówka, ma liczne i wielkie łąki, których spad wynosi z górą 25 procent, a dla początkujących sportsmanów stanowi niezwykle dogodny teren do zjazdów i ćwiczeń narciarskich. Lepiej wyćwiczonych narciarzy nęcą wysokie Tatry, które pod względem trudności dostępu zimą wcale nie ustępują Alpom.

Doskonale utrzymana droga do Morskiego Oka i wspaniale na zimę zaopatrzone schronisko przy Morskiem Oku umożliwia urządzanie wycieczek do tej wspaniałej kotliny, której piękność dopiero zimą występuje w całej pelni.

Do najbardziej popularnych wycieczek narciarskich należą wycieczki na Czerwone Wierchy, na Giewont, Kościelec, Bystrą i Wołowiec.

Dla amatorów sportu saneczkowego nie brak w Zakopanem długich i urozmaiconych terenów, o wielkim niejednokrotnie spadzie. Na Gubałówce, dzięki subwencyi Kraj. Związku Turystycznego, utrzymywany jest stały tor saneczkowy, który tak pod względem swej długości jak i doskonałości położenia nie ustępuje najlepszym torom zagranicznym.

Nic też dziwnego, że szczególnie w czasie świąt Bożego Narodzenia zjeżdżają do Zakopanego sportsmani z całej Polski i że Zakopane z biegiem czasu staje się siedzibą sportów zimowych, do której nawet z zagranicy ściągają tłumnie turyści.

Atrakcyą sportową na czas świąt Bożego Naro-



Królewska siedziba sportów zimowych: Odpoczynek narciarzy i saneczkarzy. (Fot. J. Jaworski).



Królewska siedziba sportów zimowych: „Piramidka“ narciarska. (Fot. J. Jaworski).



Zgon króla belgijskiego: Leopold II.



Królewska siedziba sportów zimowych: Wycieczka na saneczkach i nartach przez Kuźnice na Katalówkę.

dzenia jest dla Zakopanego kurs narciarski, którego kierownictwo objął znany narciarz por. Bobkowski, instruktor wojskowych oddziałów narciarskich.

Zgon króla belgijskiego.

Po długiej i ciężkiej chorobie zmarł w nocy na piątek ubiegłego tygodnia Leopold II., król Belgii, jeden z najstarszych monarchów europejskich i jeden z najpopularniejszych. Zmarł w swym pałacu w Laeken pod Brukselą.

Oceniając życie i działalność króla Leopolda II., należy koniecznie oddzielić jego życie i stosunki prywatne od działalności publicznej. Życie prywatne



Zgon króla belgijskiego: Księżna Ludwika Koburska, najstarsza córka zmarłego króla.

laurów mu nie przyniosło, tylko wielką ale ujemną popularność, natomiast jego rządy w państwie belgijskiem zapewniły mu ogólne uznanie i sławę jednego z najdzielniejszych władców.

Urodzony 1835 r. jako syn Leopolda I. z rodziny sasko-koburskiej, spędził młodość swoją na służbie wojskowej, w której przeszedł wszystkie stopnie oficerskie aż do generała. Miał wówczas tytuł księcia Brabantu, jako następca tronu. Ogłoszony pełnoletnim 1853 r., zaślubił w kilka miesięcy potem arcyksiężniczkę Maryę Henrykę, córkę arcyksięcia Józefa, palatyna Węgier. Na tron belgijski wstąpił po śmierci swego ojca w grudniu 1865 r., panował więc wogóle 44 lat.

Rządy jego nie obfitowały w rozgłośne wypadki polityczne. W całym, przeszło 40-letnim okresie, wysunęły się na czoło właściwie tylko dwie poważne kwestye. Jedną z nich była kwestya państwa Kongo, kolonii państwa belgijskiego w Afryce, z powodu której rząd niejednokrotnie atakowano ostro



Zgon króla belgijskiego: Hr. Stefania Lonyay.

w parlamencie, a drugą wzrost stronnictwa socyalistycznego w Belgii.

Zresztą wpływ króla Leopolda objawiał się tylko w dziedzinie ekonomicznej. A nie był to wpływ zły ani dla kraju niekorzystny. Nieodrodny potomek rodu Koburskiego, odznaczał się Leopold II. trzeźwym poglądem na świat i życie, oraz na swe obowiązki monarsze. Dzięki temu zrozumiał doskonale, że małe państewko, jakiem jest Belgia, nie może uprawiać polityki mocarstwowej i nie powinno się do tej polityki mieszać. Kładł też główny nacisk na rozwój ekonomiczny Belgii, na wzbogacenie państwa i wzbogacenie ludności. A że był monarchą rozumnym, zdolnym, energicznym i pracowitym, bardzo nawet pracowitym, zamiary swoje urzeczywistnił, doprowadzając rozwój ekonomiczny Belgii do bardzo wysokiego poziomu i zdobywając dla swego państewka znaczenie niepospolite w zakresie przemysłu i handlu.

Popierał też gorliwie nauki i sztuki. Już jako następca tronu interesował się żywo sprawą naukowego zbadania tajemniczego wnętrza Afryki i w ciągu



Zgon króla belgijskiego: Księżniczka Klementyna, najmłodsza, niezamężna córka zmarłego króla.

swych rządów popierał hojnie wszelkie, zmierzające do tego celu usiłowania. W r. 1876 powstało z jego inicyatywy wielkie stowarzyszenie „Assocation internationale Africaine", a także otwarcie państwa Kongo dla kultury i eksploatacyi handlowej jest jego zasługą. Że w koloniach tych działy się później nadużycia, to pewna. Czy jednak działo się to z winy Leopolda II., o tem dziś trudno coś pewnego powiedzieć. W każdym razie zdobył tam król belgijski, dzięki swym sprytnym spekulacyom, olbrzymi majątek.

Inaczej, a mniej pochlebnie, przedstawia się życie



„Berek Joselowicz" na scenie: Kościuszko (p. Jarniński) wręcza Berkowi (p. Belke) sygnet. Scena z II. aktu sztuki Zenona Parviego.

prywatne zmarłego króla. Ani małżeństwo jego nie było szczęśliwe, ani życie rodzinne. Bolesne wypadki spadały nań często. Jedyna siostra, małżonka cesarza Maksymiliana, popadła w obłąkanie. Jedyny syn i następca tronu zmarł w dziecięcym wieku. Tragiczna śmierć zięcia, arcyks. austryackiego Rudolfa, tragiczna i niewyjaśniona śmierć bratanka i następcy tronu ks. Baldwina, przyczyniły mu też niemało zmartwień. Dumę rodową króla Leopolda zadrasnęły skandaliczne awantury miłosne córki Ludwiki, małżonki hr. Filipa Koburskiego, a następnie nieodpowiednie, powtórne małżeństwo drugiej córki, Stefanii, wdowy po arcyksięciu Rudolfie, z hr. Lonyay. Trzecia córka, Klementyna, nie wyszła wogóle zamąż.



Zgon króla belgijskiego: Albert I., bratanek króla Leopolda, obecny król Belgii.

Ale i sam Leopold nie wiele liczył się z opinią publiczną i w swem życiu prywatnem popełnił sporo nietaktownych kroków. Awanturki miłosne z aktorkami i tancerkami, głośne do niedawna, wreszcie morganatyczne małżeństwo z bar. Vaughan, wszystko to sprawiło, iż król Leopold miał opinię hulaki i rozpustnika.

Niechętnie też patrzano na stosunek króla do jego dwu córek, Ludwiki i Stefanii, których w ostatnich latach, nawet tuż przed śmiercią, nie chciał do siebie dopuścić, forytując równocześnie nadmiernie swą morganatyczną małżonkę i troje swych, z tego małżeństwa pochodzących, dzieci.

W każdym jednak razie król Leopold był monarchą bardzo niepospolitym, był indywidualnością nieprzeciętną, a sąd ostateczny o jego życiu i zasługach wyda dopiero historya.

Tron belgijski przechodzi obecnie na księcia belgijskiego Alberta, syna ks. Filipa, brata króla Leopolda. Król Albert I., urodzony 1875 r., jest ożeniony z księżniczką bawarską, Elżbietą.



Zgon króla belgijskiego: Hrabina Stefania Lonyay, córka Leopolda II. ze swym mężem.

Wielka katastrofa kolejowa.

Na zakończenie roku 1909, w którym zaszło już sporo wypadków i katastrof kolejowych, wydarzył się przed kilku dniami jeszcze jeden i to bardzo poważny wypadek kolejowy w miejscowości Morawskie Budwice. Wypadek ten spowodowany został fałszywem ustawieniem zwrotnicy, skutkiem czego dwa pociągi towarowe wjechały na siebie.

Skutki zderzenia były okropne. Obie lokomotywy i 22 wagonów zostało zupełnie rozbitych, z niektórych pozostały zaledwie drzazgi i pogięte żelaziwo. Ponadto kilka osób z pośród personalu służby kolejowej, zajętej przy obu pociągach, odniosło ciężkie lub lżejsze uszkodzenia.

Zdjęcie nasze przedstawia miejsce katastrofy oraz widok porozbijanych wagonów.



Wielka katastrofa kolejowa: Widok miejsca katastrofy.

Sport myśliwski w Antoninach.

Antoniny, rezydencya hr. Józefa Potockiego w gubernii podolskiej, są jednem z największych centrów sportu myśliwskiego, sportu, który ongiś w Polsce tak kwitł i tylu miał zapalonych zwolenników, a obecnie znajduje zaledwie niewielu i nielicznych amatorów. Antoniny są dziś jeszcze jednem z nielicznych ośrodków, gdzie sport myśliwski gro-



Zgon króla belgijskiego: Filip ks. Koburski, zięć zmarłego króla.

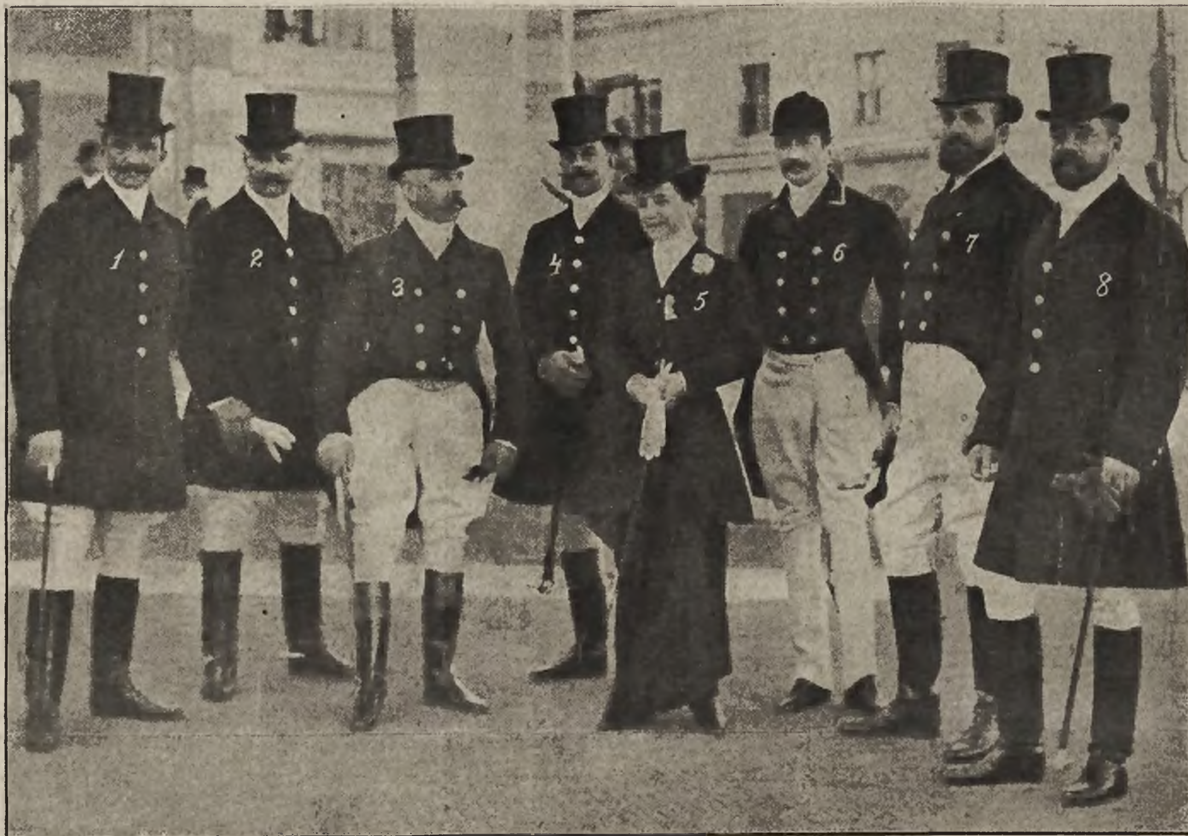


Sport myśliwski w Antoninach: Ogólny widok zamku hr. J. Potockiego.

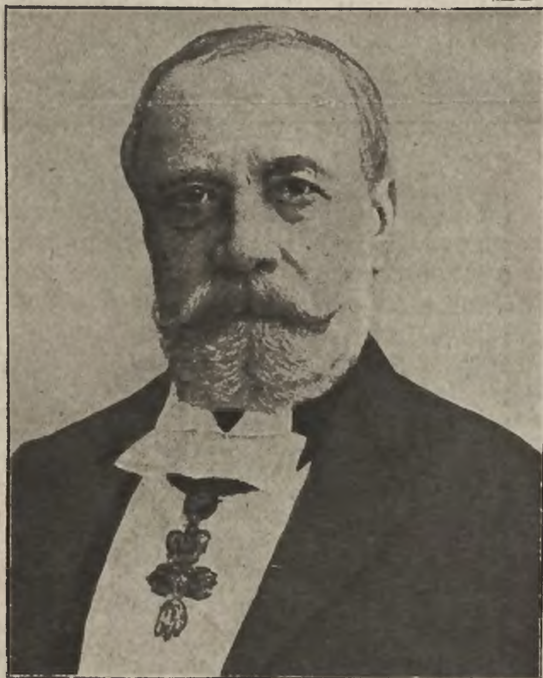
madzi jesienią liczne zastępy zapalonych myśliwych z pośród polskiej arystokracyi.

Już wczesną jesienią rozpoczynają się tu polowania na dzikie kaczki i na bażanty. Polowania na ptactwo są jednak niczem w porównaniu z polowaniami *parforce*. Do tych polowań trzymane są specyalne sfory, złożone łącznie ze 100 psów. Jedna z nich przeznaczona jest na grubego zwierza, druga do polowania na zające.

Aczkolwiek większa część gości przyjeżdża na polowanie *parforce* z własnymi końmi, to jednak w stajni w Antoninach, w której stoi z górą sto koni, znajduje się 44 wierzchowców najlepszej klasy, ujeżdżonych odpowiednio, które każdego czasu stoją do dyspozycyi jeźdźców-myśliwych. A nie należy zapominać, że koń myśliwski musi dużo módz, by odpowiedzieć zadaniu, nań ciążącemu. Większość jeźdźców posiada wagę wcale okazałą, grunt przeważnie jest dość głęboki, a przestrzeń, na jakiej zazwyczaj przychodzi ścigać zwierzynę, dochodzi do 40 i 50 klm. Do tego dodać należy, że teren myśliwski gubernii podolskiej jest niezwykle ciężki.



Sport myśliwski w Antoninach: Grono uczestników polowania *parforce*. 1. Ks. Lubomirski: 2. hr. T. Zamoyski; 3. hr. St. Siemieński-Lewicki; 4. hr. A. Zamoyski; 5. hr. Helena Potocka; 6. hr. Józef Potocki, właściciel Antonin; 7. hr. Zdzisław Tarnowski; 8. hr. F. Tarnowski.

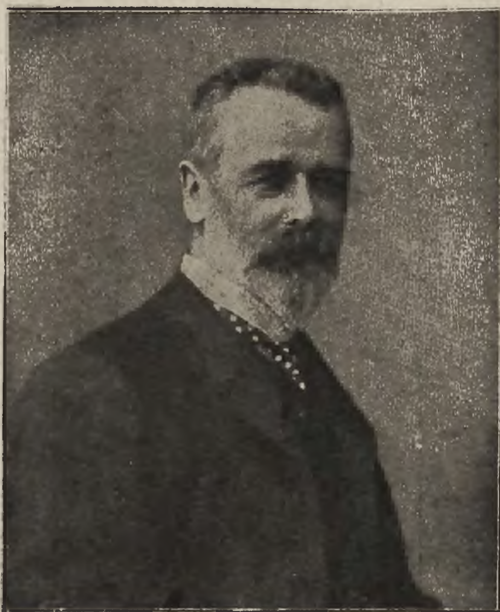


Śmierć czeskiego patryoty: Ś. p. Jan hr. Harrach.

Stepy podolskie znane są ze swych przepaścistych kotlin, o ścianach niejednokrotnie zupełnie stromych. Miejscami grunt staje się tak błotnistym, że przebycie go zależne jest jedynie od siły i wytrzymałości konia. Jedną ze specyalności terenu Antonin są wały, odgraniczające pola od dróg. Wały te wraz z drogami stanowią dla jeźdźców naturalną przeszkodę, której wzięcie wymaga nielada sprawności tak od jeźdźca jak i od konia. Te trudności terenowe, jakie do pokonania mają myśliwi, zbierający się rok rocznie w Antoninach, stanowią jednak jedną z najpiękniejszych atrakcyj dla zaproszonych gości.

W październiku b. r. ubiegło 25 lat od czasu pierwszego, na większą skalę urządzonego, polowania *parforce* w Antoninach. W dniu tym zjechało się do rezydencyi hr. Józefa Potockiego niezwykle liczne towarzystwo, pomiędzy którem znaleźli się myśliwi, którzy jeszcze przed 25 laty brali udział w polowaniach antonińskich, dawniej mniej znanych, a dziś głośnych nietylko na całą Polskę ale i na całą Europę.

Wśród jeźdźców myśliwych, którzy zjechali się na tę 25 letnią rocznicę polowania *parforce* w Antoninach, nie brakło przedstawicieli wybitnych sportsmanów z arystokracyi polskiej tak z Królestwa Polskiego, jak i z Galicyi.

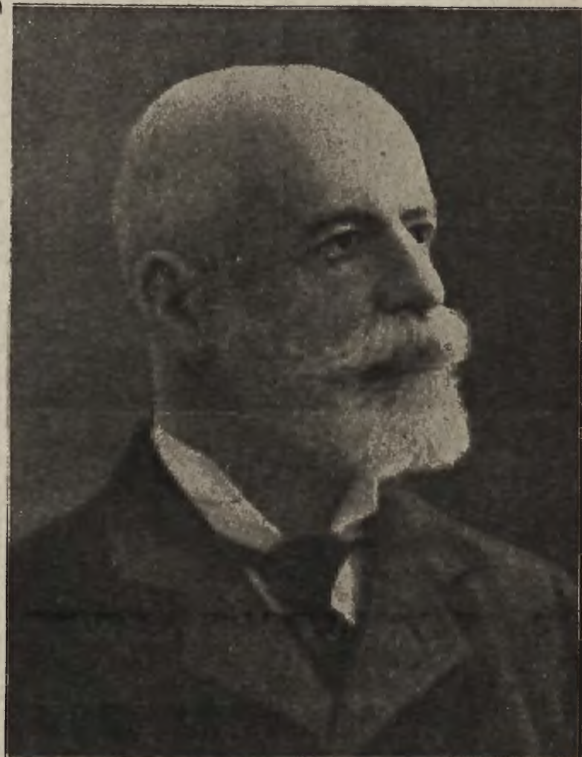


Zgon znakomitego malarza: Herman Kaulbach.

W pościgu za jeleniem, którego z gąszczy wypłoszyła sprawna sfora psów gończych, liczna drużyna dziarskich myśliwych nie miała szczęścia, bo zwierzę, ścigane na przestrzeni z górą 40 kilometrów, zdołało dopaść głęboko błotnistych lasów i wyjść cało z zasadzki.

Antoniny są wspaniałą rezydencyą magnacką. Sam zamek imponuje zdala przejeżdżającemu widzowi niezwykle malowniczem otoczeniem. Przepiękna fasada w stylu barokowym, wraz ze stylowym podjazdem, sprawiają na pierwszy rzut oka wrażenie imponujące. Całości dodają uroku dwie piękne monumentalne grupy myśliwskie, ustawione skośnie do długiego frontu starszych budynków.

Stajnia w Antoninach, jako ośrodek sportu myśliwskiego, jest jedną z największych na ziemiach polskich. Tu znajdują się jeszcze przewspaniałe okazy dawnych polskich koni, dziś przez zagranicę tak poszukiwanych i tak drogo płaconych. Są to po większej części konie półkrwi, pochodzące z krzyżowania arabów lub angloarabów z rasą



Nowy włoski minister spraw zagranicznych: Hr. Franciszek Giucciardini.

koni polskich. Przeważna część koni w Antoninach jest pochodzenia polskiego. W stajni hr. Potockiego znajduje się zaledwie 10 koni pochodzenia angielskiego lub irlandzkiego, reszta pochodzi ze stadniny własnej, liczącej z górą 80 klaczy.

Konie myśliwskie przechodzą jako trzylatki ze stadniny do stajni myśliwskiej, gdzie pod kierunkiem masztalerza są ujeżdżane i szkolone do brania przeszkód. Jako czterolatki biorą już udział w najcięższych kursach myśliwskich, a o klasie ich świadczy najlepiej fakt, że żaden z angielskich koni nie może im dorównać w pewności, z jaką biorą one każdą, choćby najcięższą przeszkodę.

Również stajnia pociągowa rozporządza znakomitym materyałem. Między końmi pociągowymi znajdują się najrozmaitsze typy, od najlżejszych koni począwszy, a skończywszy na najcięższych.



Z procesu koalicyi serbsko-chorwackiej: Świadek prof. dr. Massaryk (z torbą) przed gmachem sądowym w Wiedniu.



Laureaci Nobla: Senator baron D'Estournelles de Constant.

Pisząc o Antoninach, trudno nie wspomnieć o bogatej remizie zamkowej, liczącej z góra 100 powozów, w tem wiele starożytnych karoc i wspaniałych powozów, świadczących wymownie o bogactwie właściciela rezydencyi.

„Berek Joselowicz“ na scenie.

Piękną, bohaterską postać żyda-pułkownika, Berka Joselowicza, który przed 100 laty poległ w bitwie pod Kockiem, wprowadził do jednego ze swych dramatów znany już zaszczytnie z innych prac autor, p. Zenon Parvi, dziennikarz krakowski. Sztukę tę wystawił niedawno dyr. Rygier w krakowskim teatrze ludowym, a wystawił — jak zwykle — bardzo starannie. Dzięki temu też utwór p. Parviego, już w czytaniu wykazujący niezwykłe przymioty i zalecający się interesującą fabułą i pięknym językiem, zyskał w świetle kinkietów na sceniczności i wyrazistości.

Do powodzenia sztuki p. Parviego przyczynili się prócz dyr. Rygiera, który odegrał dwie role, Madalińskiego i parobka wiejskiego, oraz reżysera Turskiego, także wszyscy występujący w niej artyści, wkładając w wykonanie powierzonych sobie ról dużo zapału i pracy.

Z artystów tych wymienić należy przedewszystkiem p. Jarnińskiego, który rolę Kościuszki oddał z należytem przejęciem się i siłą, oraz p. Belkego, który w roli tytułowej odznaczył się grą, pełną miary artystycznej, a postać Berka wyposażył w właściwy jej idealizm. Jedyną rolę kobiecą, postać Ruchli, wykonała p. Grabowska doskonale, stwarzając w szeregu swych kreacyi jedną z najpiękniejszych. PP. Szkudelski jako Józef Joselowicz, Szarkowski jako hr. Poniński, Poleński jako oficer Pałkin, wywiązali się także bardzo sumiennie ze swych ról.

Laureaci Nobla.

Dnia 10 grudnia, jako w rocznicę śmierci Nobla, odbyło się w Sztokholmie uroczyste rozdanie 5 nagród z fundacyi tego filantropa.



Staroegipska tancerka: Sent M'aheza.

Najstarszym z laureatów jest Teodor Kocher' profesor chirurgii w Bernie Szwajcarskiem, liczący 68 lat życia. Otrzymał on nagrodę medycyny za swe prace nad chorobami gruczołu tarczowego, które powodują tak zwane wole. Kocher zdołał wynaleść nowy sposób operacyi, która umożliwia zupełne wyleczenie tej, tak strasznej i niebezpiecznej choroby.

Nagroda fizyki przypadła głośnemu profesorowi uniwersytetu w Strassburgu, Ferdynandowi Braunowi.



Chińska komisya w Anglii: Chińscy oficerowie marynarki, zwiedzający okręt wojenny „Victory“, na którym zginął w r. 1805 pod Trafalgarem admirał Nelson.

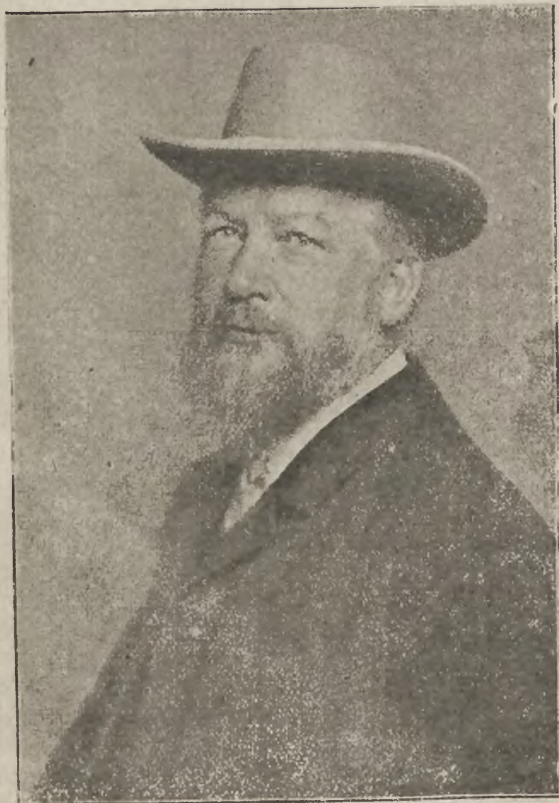
Urodził on się w r. 1850 w Fuldzie. Studya uniwersyteckie kończył w Berlinie i Marburgu. Jego naukowe prace nad elastycznośnią falowania, nad przemianą energii chemicznej na elektryczną zdobyły mu rozgłos i sławę europejską. Do zdobycia nagrody Nobla przyczyniło się wykonanie przezeń doświadczenia, którem udowodnił, że fale świetlne są identyczne z falami elektrycznemi.



Laureaci Nobla: Wilhelm Marconi.

Prof. Wilhelm Ostwald, który otrzymał nagrodę za swe prace w dziedzinie chemii, ma za sobą sławę uczonego nie mniejszego od Brauna. Ostwald był tym, który pierwszy udowodnił łączność nauk fizycznych z chemicznemi i pierwszy założył w Lipsku instytut fizyczno-chemiczny. W laboratoryum swem zastosował on metody i wyniki badań fizycznych do badania zjawisk chemicznych. Literaturę naukową wzbogacił licznemi i cennemi dziełami, które niemniej przyczyniły się do rozgłosu jego imienia. Prof. Ostwald urodził się 2 września 1853 r. w Rydze, studya uniwersyteckie kończył w Dorpacie.

Nagroda literatury przypadła powieściopisarce szwedzkiej, Selmie Lagerlöf. Urodzona w r. 1858, rozpoczęła swą działalność dopiero w 30 roku życia. Z zawodu nauczycielka, poświęcała się dorywczo twórczości literackiej. Dopiero powieść jej *Gösta*



Laureaci Nobla: Prof. dr. Wilhelm Ostwald.

Berling zwróciła nań uwagę szerszego świata literackiego i postawiła ją w szeregu najznakomitszych powieściopisarzy. Do jej najcelniejszych utworów należą: „Legendy i opowiadania“, „Legendy o Chrystusie“, „Skarb Herma Arme“, „Cudowne podróże małego Nilsa Holgersona z dzikiemi gęśmi“.

Najmłodszym wiekiem pośród laureatów jest głośny wynalazca telegrafu bez drutu, Wilhelm Marconi, któremu przyznano drugą nagrodę fizyki. Z pochodzenia Włoch, liczy zaledwie 39 lat. Dziś telegraf Marconiego znalazł już obszerne zastosowanie, a przyznanie nagrody młodemu wynalazcy zostało w całym świecie przyjęte z zadowoleniem.

Nagroda pokoju, która poprzednio już została w Chrystyanii rozdzieloną między Beernaerta i senatora D'Estournelles de Constant, przeszła na cele unii międzyparlamentarnej, na którą obaj laureaci przelali przypadające na nich części.

Należy dodać jeszcze, że każda z nagród zą pracę naukową czy literacką wynosi w tym roku 193.300 franków, a nagrody pokoju po 135.000 franków.

Rybołostwo przedświąteczne.

Wisła jest — jak wiadomo — rzeką bardzo rybną i rybołostwo sowicie opłaca się nietylko amatorom, ale i zawodowym rybakom, trudniącym się handlem ryb. Zwłaszcza w czasie postnym i w okresie Świąt Bożego Narodzenia.

Pod Krakowem handel ten spoczywa prawie wyłącznie w rękach żydowskich spekulantów. Mają oni swoje przedsiębiorstwa pod gołem niebem, po obu brze-



Laureaci Nobla: Selma Lagerlöf.

gach Wisły przy moście podgórskim, gdzie równocześnie odbywa się połów, gdzie są „składy“ towaru i gdzie odbywa się handel hurtowny i detaliczny.

Złowione ryby przechowują handlarze w specyalnie na ten cel urządzonych skrzyniach drewnianych z otworami zanurzonych w wodzie przy brzegu. W razie potrzeby dobywa się stamtąd odpowiednie okazy przy pomocy sieci. Skrzyń takich, rozmaitej wielkości, jest całe mnóstwo przy brzegu Wisły. Dobywane stamtąd okazy, zważone i przeliczone, przewozi się następnie w koszach lub beczkach do miasta na sprzedaż.

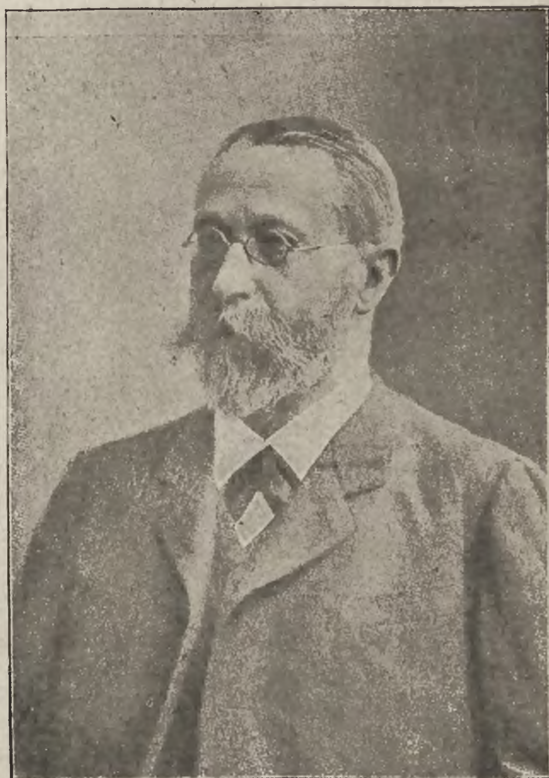
Nasza illustracya przedstawia manipulacyę pewnego „kupca“, nad brzegiem Wisły w przededniu Świąt Bożego Narodzenia.

Caruso przed ożenkiem.

Słynny tenor włoski, Henryk Caruso, ulubieniec kobiet i ich „pogromca“, ma zamiar wstąpić ponownie w związki małżeńskie, co oczywiście zmniejszy bardzo poważnie jego powodzenie u płci pięknej.

Oblubienicą Carusa, ową szczęśliwą i zazdrości godną niewiastą, jest pewna Sycylianka, młodziutkie, 18 letnie a cudownie piękne dziewczę.

Podczas gościnnych występów Carusa w Berlinie,



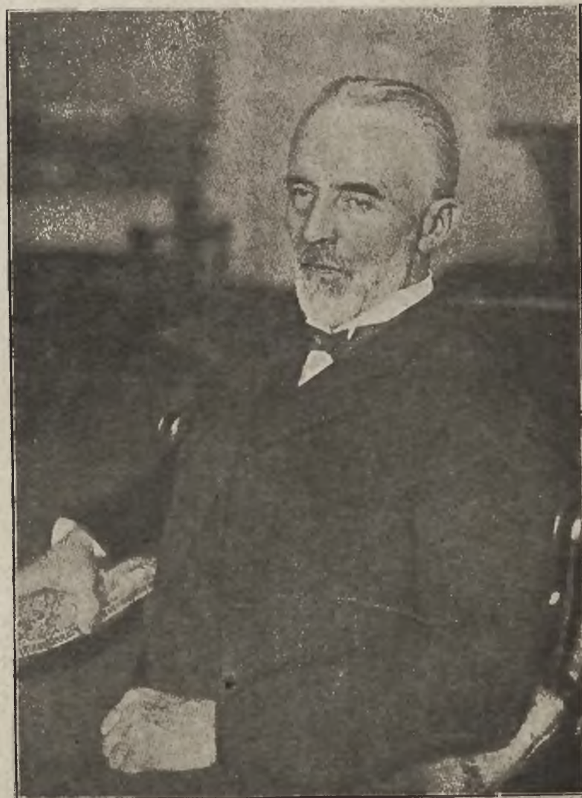
Laureaci Nobla: Prof. dr. Ferdynand Braun.

bawiła ona tam wraz ze swym ojcem. Nasze zdjęcie przedstawia właśnie parę narzeczonych w czasie przechadzki na jednej z ulic Berlina.

Nowy włoski minister spraw zagranicznych.

Gabinet Sidneya Sonnina, powołany przez króla włoskiego po upadku Giolittiego, rozpoczął już rządy i program jego jest już ogólnie znany. W skład gabinetu tego weszli przedstawiciele centrum, prawicy i katolików, te stronnictwa też będą go popierały. Przeciwników będzie miał wśród socyalistów i radykałów, dalej wśród zwolenników Giolittiego i Tittoniego.

Uwagę polityków zagranicznych, w szczególno-



Laureaci Nobla: Prof. dr. Teodor Kocher.

ści uwagę Austryi, jako państwa, związanego trójprzymierzem z Włochami, zwraca przedewszystkiem osobistość hr. Franciszka Giucciardiniego, nowego ministra spraw zagranicznych. Jako *sindaco* t. j. burmistrz Florencyi, zwrócił on na siebie uwagę zręcznością, z jaką umiał łagodzić spory, zwłaszcza wśród stronnictw katolickich i radykałów.

Albert Boissiere.

Człowiek bez twarzy.

2 (Ciąg dalszy).

Pałacyk ten w gruncie rzeczy był zwykłą willą o sześciu pokojach, w których Marcadian, kawaler i mizantrop, żył sam tylko z Józefem, starym służącym, bardzo przywiązanym do swego pana. Zadzwoniłem do drzwi, które mi Józef zaraz otworzył...

Zaledwie mnie jednak ujrzał, krzyknął przeraźliwie, popchnął w pośpiechu i czem prędzej wybiegł na ulicę, pozostawiając mnie samego. Wszedłem do środka. Marcadiana nie było w domu. Z przerażenia służącego domyśliłem się, że sprawa jest już znaną, że adwokat prawdopodobnie udał się już do Bry, gdzie została zamordowana jego siostra... i że Józef, powiadomiony o roli, jaką ja sam sobie w tym dramacie przyznałem, pobiegł do komisaryatu, by zawiadomić o mojej obecności u Marcadiana... Wszystko to zdenerwowało mnie trochę. Zdecydowany jednak na narażenie się na badanie, a mając przytem zamiar poplątania wszystkich nici śledztwa, wszedłem do gabinetu szwagra, usiadłem w jego fotelu i najspokojniej zapaliłem sobie cygaro... Zaledwie jednak kilka razy zaciągnąłem się cygarem, gdy naraz z zadumy obudził mnie łoskot zatrzymującego się nagle przed domem samochodu.

— Bardzo dobrze! — pomyślałem. — Przynajmniej nie długo czekałem.

W przedpokoju rozległ się jakiś głos o wyraźnym cudzoziemskim akcencie:

— Ho! Och! Cóż to, niema nikogo?

Chciałem powstać, by zobaczyć, kto to jest, gdy jakiś nieznajomy pchnął bez żadnej żenady drzwi do gabinetu i skłonił mi się z salonową elegancyą. Był to kolosalny mężczyzna o czerwonawej twarzy, zupełnie wygolonej, z monoklem w oku i wielką czerwoną różą w butonierce...

— Pan jest — rzekł mi szybko — mecenasem Marcadian, najlepszym paryskim adwokatem? Ja jestem Joe Duncan, obywatel amerykański, król papierowy. Posiadam ośmdziesiąt trzy fabryk i trzysta milionów dolarów!... W dodatku mam jedynego syna Williama Duncana, który jest rozpaczą mego życia!... Chłopiec inteligentny i zachowania wzorowego, który chce mnie znieslawić... Otóż ja, Joe Duncan, przysiągłem, że on tego nie zrobi!... Gotów raczej jestem stracić wszystko do ostatniego dolara... zdecydowany jestem na każdy krok — słyszy pan — na każdy krok!

I ostatnie swe słowa potwierdził potężnem uderzeniem pięści w biurko, od czego wszystkie przedmioty do pisania podskoczyły do góry.

— Zdaje mi się jednak — ciągnął dalej, siadając na fotelu, do czego go wcale nie zapraszałem — że ja panu przeszkadzam!... Rzeczywiście, szanowny gentleman ma minę, jakby mnie wcale nie rozumiał, nie domyślał się, jak ważnym jestem klientem! Czy mam panu powtórzyć?... Trzysta milionów dolarów!

Miałem chęć krzyknąć mu prosto w uszy, że nie jestem adwokatem Marcadianem, że jego sprawa wcale mnie nie interesuje, że mam własne, daleko gorsze kłopoty... nie zdążyłem jednak tego uczynić.

Gwałtowny Jankes podniósł się i zapraszał:

— Proszę do mnie... Pokażę panu przedmiot nieporozumienia!... Jest to kobieta... Nazywa się Łucya Weill... Jedźmy! Samochód mój na dole.

— Cóż ja ryzykuję — pomyślałem sobie — kiedy niema Marcadiana i on nie może mi dać przeto żadnej rady, a niczego dobrego nie mogę się spodziewać po powrocie Józefa? Będzie to dla mnie czysta wygrana w mych utrapieniach, gdyż ten krwisty jegomość, swemi zwierzeniami, z których zawczasu sobie kpię, może przyniość mi choćby chwilową ulgę w mych czarnych myślach. Wziąłem też swój kapelusz, gotów iść wszędzie, dokąd zechce mnie zaprowadzić ten oryginalny milioner.

Siadłem do jego samochodu o sile czterdziestu koni, którym kierował murzyn w niepokalanie czystej liberyi.

— Bambu! Wracajmy! — zawołał Joe Duncan. I zwrócił się do mnie, by mi wyjaśnić:

— Jedziemy do Neuilly!... Znalazłem tam opuszczoną willę, pozbawioną wszelkich bliższych sąsiedztw, dość dziką... i odpowiednią dla mych celów! Pan nie zna mego syna?... William Duncan, lekarz psychiatra?

— Jak pan mówi?... — wyjąkałem z przestrachem, jakby wszystko, co się ze mną działo od ra-na, obudziło się we mnie teraz przy wymienianiu specyalności syna Duncana.

— Posiada on swój własny dom zdrowia w Saint-Mande... Dom powszechnie znany, lecz w którym, jestem pewien, byłby odpowiedniejszy jako pacyent, niż jako lekarz!... Jednem słowem syn mój jest wielkim oryginałem.

Przy słowach tych spojrzałem z pod oka na swego dziwnego towarzysza i odniosłem wrażenie, że samochód pędzi całą siłą, że ten kolos o rudych włosach i nabiegłych krwią oczach, o gwałtownych ruchach i ostrym głosie jest właśnie lekarzem alienistą, a ja jego pacyentem.

...Samochód zatrzymał się nagle przed starożytnemi sztachetami, które odgradzały zapuszczoną jakąś posiadłość o rosnących w nieładzie drzewach. Zdziwiony byłem odrazu, iż nie spostrzegam wcale domu.

Wysiedliśmy... Służący, również murzyn, podobny zupełnie do palacza, otworzył nam podwójne drzwi i gdy samochód odjechał na prawo po źle utrzymanej alei, Joe Duncan poprowadził mnie na lewo po zarośniętej zupełnie ścieżce. Ujrzałem wkrótce ładny pałacyk w stylu Ludwika XVI, ocieniony zielenią, którego jednak odrapany front i pobrudzone podsienie, wskazywały na zupełny brak starań o zewnętrzny jego wygląd.

Weszliśmy do obszernego salonu, pokrytego spróchniałą i stoczoną przez robaki boazeryą, w którym meble były zredukowane do najniezbędniejszych tylko przedmiotów: wielki stół mahoniowy, cztery niedobrane fotele różnych stylów i szeroka aksamitna kanapa bez żadnego stylu, stanowiły całe umeblowanie.

Myślałem też co za tajemnicze pobudki skłoniły Joe Duncana, króla papierowego, do wybrania tego zaniedbanego mieszkania, zamiast wygodnych apartamentów w bulwarowych hotelach.

— Czy szanowny gentleman zrobi mi zaszczyt i zje ze mną obiad?... Sprawa moja jest bardzo długa i bardzo delikatna.

Mój dziwaczny gospodarz nie mógł mi zadać śmieszniejszego pytania. Zgodziłem się chętnie, odpowiadając czysto angielskim zwrotem, co go bardzo ucieszyło.

— Och! Drogi mecenasie — rzekł mi — pan mówi najczystszym akcentem angielskim, który mnie bardzo dziwi, zwłaszcza u Francuza.

Wyjaśniłem mu:

— Studyowałem w Oksfordzie i rad jestem, że język ten zgłębiłem gruntownie, gdyż dzięki temu, gdy mi przyjdzie ochota, mogę uchodzić za rodowitego obywatela zjednoczonego królestwa.

— Nie... Nie! Niech pan nie przesadza! Tak łatwo nie udałoby się to panu z pańskiemi włosami artysty i rozczochraną, długą brodą...

Westchnął i po chwili dodał:

— Jaki pan jest dziwny! Nigdy tak sobie nie wyobrażałem sławnego adwokata... Brak panu wytworności, naprawdę brak!... A takie pomysł zamieszkania gdzieś daleko od centrum miasta, na końcu świata... w Auteuil! Rzeczywiście, pan również jest oryginałem, jak i mój syn, William Duncan!

Zmienił zaraz temat rozmowy:

— Pan wybaczy mi skromność tu panującą... Mam z sobą tylko dwóch murzynów do usługi, Bambu i Dżima, którzy są mi oddani aż do śmierci... Dżima preparuje potrawy na swój sposób, a Bambu znowu podaje je po swojemu!... Ale, a propos, chce pan widzieć Łucyę Weill?

— Lepiej będzie — odrzekłem żywo — jeżeli zjemy obiad sam na sam i pan mi przedtem wytłómaczy wszystko, punkt po punkcie...

— Bardzo dobrze! Łucyi podadzą obiad w jej pokoju... Zobaczy pan ją później!... Jest ona niezwykle piękna... nie wieleby to jednak znaczyło, gdyby w niej dyabeł nie siedział...

Dżim wkrótce oznajmił, że obiad podano i przeszliśmy do stołowego pokoju... Jadłem bez apetytu; dojrzałem też zaraz wzgardę, jaką miał dla mnie Joe Duncan, król papierowy, który zdawał się nie jeść, lecz połykać wszystko, co mu podano.

— Niechże pan wie — zaczął po pierwszej potrawie milionowy amerykanin — że mój syn, sławny doktór psychiatra, zakochany jest do szaleństwa w tej pięknej dziadówce, jaką jest Łucya Weill i zamierza ją poślubić!... A ja, Joe Duncan, zamierzam coś innego!... Dosyć już, że pozwoliłem mu żyć jak chce i odgrywać głupią rolę uczonego, zamiast zaprawiać go do interesów... Jak pan sądzi, czyż to nie może doprowadzić człowieka do wściekłości, że on lekceważy sobie cały majątek? Nie ftygowałbym się tutaj z Nowego Jorku dla drobnostki!

Potem wychylił jednem tchem szklankę wina.

Po drugiem daniu dowiedziałem się, że dla przeszkodzenia małżeństwu, do którego nie chciał dopuścić, nie zawahał się porwać i więzić w tym domu pięknej kobiety, przedmiotu miłości swego młodego syna.

Nie wątpiłem już ani chwili, że walka z człowiekiem, który przenosi ponad trzysta milionów dolarów swego ojca posiadanie Łucyi Weill, nie obędzie się bez różnych niespodzianek. Nie rozumiałem tylko powodu wizyty milionera u adwokata i nie mogłem domyśleć się, jakiej pomocy chce on od niego żądać. Żywość i siła przekonania tego wielkiego człowieka, wywarły i na mnie wpływ i zaostrzyły moją ciekawość. Pozwoliłem też sobie na przyjemność dalszej mistyfikacyi.

— Wszystko to bardzo piękne! Lecz jeżeli pański syn jest również tak uparty, jak i jego ojciec... a także ten sam upór okaże i Łucya Weill, nie wiem, do czego może pana doprowadzić pańska przemoc. Jesteśmy tutaj we Francyi, proszę pana, gdzie panują prawa... sprawiedliwość.

Milioner wybuchnął głośnym śmiechem.

— Prawa!... Sprawiedliwość!... Przedewszystkiem nie chodzi tu o Łucyę Weill!... Dla przekonania jej chowam w rezerwie pewne argumenty. Grunt stanowi dla mnie William, którego muszę uchronić od możności szkodzenia sobie... I właśnie co do środków, wiodących do tego, chcę się poradzić pana... Pańska wiedza prawnicza i pańskie wybiegi adwokackie są mi niepotrzebne!... Wszystkie wasze prawa i cała sprawiedliwość nic mnie również nie obchodzą!... Jestem daleko silniejszy od was i sam potrafię załatwić się z tą drażliwą sprawą...

— Nie wątpię o tem — potwierdziłem.

— Pytam tylko o to, czy zna pan między swymi klientami lub znajomymi człowieka bez skrupułów, który byłby gotów, ma się rozumieć za pewną sumę... zapłacę szczodrze... poślubić niezwłocznie Łucyę Weill?

Zdumiony cały potrząsnąłem przecząco głową.

— Czy zna pan w takim razie, kiedy inaczej już nie można tego załatwić, człowieka... nie chcę powiedzieć bandytę, nie, to już za wiele... ale na przykład jakiego szelmę, tacy się przecież zdarzają... któremu zależałoby na zmienieniu swego stanu cywilnego... swego rodowodu... i któremu moglibyśmy oddać tę usługę?...

Z osłupienia usta zostawiłem otwarte, nie mogąc wydobyć z nich słowa. Jakieś udręczenie stłumiło mi głos. Czy człowiek ten posłany opatrznością, zjawił się dla wybawienia mnie z mego zagmatwanego położenia? Czy człowiek ten nie jest przypadkiem wykonawcą rozkazów mego przeznaczenia?...

Patrzyłem na niego szeroko rozwartemi oczyma. Wstał od stołu i podszedł do małego sekretarzyka, znajdującego się w rogu jadalnego pokoju. Otworzył jedną z szuflad, wyjął z niej zwój papierów i rozłożył go przedemną.

— Widzi pan... mam tutaj wszystko, co potrzeba do załatwienia takiej sprawy... Oto są papiery jednego z mych przyjaciół, Jonatana Brentano, który zginął w pewnym wypadku w górach. Był on rodem z Bostonu... Ja tylko znam jego historyę.. Opowiem ją panu później... Prawda, nie przedstawia to żadnych trudności?... Ma pan kogo odpowiedniego pod ręką?... Sto tysięcy dolarów za to dla pana i sto tysięcy dla niego!

Zagryzłem się w wargi i odpowiedziałem, jakbym był w istocie Marcadianem:

— Wzywa mnie pan do przyjęcia udziału w haniebnym postępku, a moja rola...

— Cóż mnie pan opowiada o swojej roli...

— Przepraszam! Prosta uczciwość...

— Nie chodzi tu ani o pańską, ani o moją uczciwość, które nie podlegają zwątpieniu!... Proponuję panu jedną sprawę! To jest jasne! Nie wychodźmy więc poza jej granicę! Pan jest adwokatem, czyż nie tak?

— Owszem! — wyszeptałem.

I spoglądając prosto w twarz temu niezwykłemu klientowi Marcadiana, skupiłem całą swą energię i rzekłem:

— Tak... to wymaga namysłu!... Sprawy takie zdarzają się!... Sto tysięcy dolarów dla mnie i sto tysięcy dolarów dla niego, pan powiedział?

Mówiłem wolno, umyślnie przewlekając i dodałem:

— Dobrze! Uczyni to razem dwieście tysięcy dolarów na wypadek, jeżeli nie znajdę potrzebnego osobnika i sam zdecyduję się odegrać tę rolę?

Teraz towarzysz mój, który zdawał się niczemu na świecie nie dziwić, stanął osłupiony...

— Pan?

— Tak, ja! Mówmy mało, lecz mówmy dobrze!

Nikt nie wie o pańskiej bytności u mnie, w moim gabinecie przy ulicy Michel Angelo dzisiaj po południu?

— Nikt, najzupełniej, to panu przysięgam!

— Bardzo dobrze!... I cokolwiekby się stało, pan mi również przysięgnie, że nigdy nikomu nawet ani jednem słowem o tem nie wspomni?

— Tak jest, szanowny gentlemanie... Nigdy!

— Czy pewny jest pan swej służby?

— Jak samego siebie!... Lecz do czego to wszystko zmierza?

— Do tego: „Od teraz ja jestem Jonatan Brentano, pański przyjaciel z Bostonu!“ Rozumie pan?

Joe Duncan jeszcze szerzej rozwarł swe zdumione oczy.

Wreszcie zawołał:

— Czy źle powiedziałem?... Co za dziwny z pana człowiek!... Nigdy nie wyobrażałem sobie takim sławnego adwokata. Oryginał prawdziwy!... Oryginał! A więc jest pan moim gościem... Będzie pan nocował tutaj?... Zamieszka pan tutaj?... i poślubi pan Łucyę Weill?

— Będę nocował tutaj!... Zostanę pańskim towarzyszem... chciałem powiedzieć wspólnikiem!.. Zrobię wszystko, co pan chce... i ożenię się z Łucyą Weill!

Mój milioner zaczął przytupywać i klaskać w ręce, wyrażając w ten sposób swą radość. Potem, powziąwszy jakieś nagłe postanowienie, którego nie mogłem domyśleć się, kazał Dżimowi, który zjawił się ze światłem, gdyż noc już zapadła, przynieść ze swego pokoju brzytwy i nożyczki. Następnie zwrócił się dość brutalnie do mnie, popychając mnie do wielkiego lustra.

— Siadaj tu, Jonatanie, mój stary przyjacielu!... Cóż to za broda, jakież ty masz włosy potargane?... Za wielki nieporządek, jak na obywatela wolnej Ameryki.

Ręce mu się poruszały z niezwykłą zręcznością, jakiej nigdy nie widziałem u żadnego fryzyera... W kilka minut moja bujna czupryna leżała na podłodze!... chłód nożyczek przerażał mnie, działał mi na nerwy... poddałem się jednak wszystkiemu automatycznie, jakbym pozbawiony był woli; odniosłem wtedy wrażenie, że kat, jakim był dla mnie Joe Duncan, dokonywał śmiertelnej toalety nad skazańcem, którym byłem ja, Barrabas, król waryatów, zabójca własnej żony.

Z brodą załatwił się tak zwinnie, iż przykrość z tego powodu zamieniła się w prawdziwą przyjemność. Było to jak delikatne głaskanie po policzkach,po podbródku i górnej wardze. Cała operacya nie trwała dłużej nad kwadrans.

— Już koniec! — zawołał wesoło mój milionowy cyrulik, wykręcając się śmiesznie na pięcie!... Czy jesteś zadowolony Jonatanie, czy poznajesz się?

Podniosłem oczy i w wielkiem lustrze, wmurowanem w ścianie, ujrzałem obraz człowieka, którego wcale nie znałem. Me uszy lekko odstające, wysunięty naprzód podbródek, obecnie goły, moje niskie czoło, pozbawione nakrycia włosów, świecące się gładkie wargi, odkrywające nieznane mi usta, cała moja postać była tak doszczętnie zmieniona, iż parskałem jakimś dziwnym śmiechem na widok własnej karykatury. Śmiech ten, zdradzający brak w ustach sześciu zębów, nie był mym zwykłym śmiechem. Nawet oczy me nie chciały poznać siebie, mimo iż nie zmieniły swego wyrazu. Obróciłem się ku swemu gospodarzowi, który śmiał się niepowstrzymanie.

Dżim, ktry po przygotowaniu mi pokoju wrócił do jadalni, stanął jak wryty i ze zdumienia opuścił lichtarz porcelanowy, jaki trzymał w ręku... Joe Duncan silnem uderzeniem w plecy przywrócił go do przytomności i oddał mu zaraz moralną naukę.

— Patrz swego nosa, Dżimie, ty psi synu i nie gap się, gdzie nie potrzeba... a teraz odprowadź mego zacnego przyjaciela, Jonatana Brentano, do jego apartamentu.

I również prędko odzyskawszy spokój, jak wpadł w gniew, życzył mi z wdzięczną miną dobrej nocy.

III.

Dzisiaj, po upływie już pięciu lat, piszę to opowiadanie spokojnie, *sine ira et studio.* To oddalenie pozwala mi lepiej ocenić straszne tortury fizyczne i moralne, jakie znosiłem przez cały przeciąg mej bolesnej kalwaryi. Nie potrzebuję obawiać się imaginacyi. Imaginacya, czyli wyobrażenia, jest to czysta blaga... Rzeczywistość przeszła ją stokrotnie, czego najlepszym dowodem jest moja historya, pozbawiona wszelkich zmyślań.

Moim jedynym zamiarem jest opisanie tego, co się stało ze mną. Moja praca ogranicza się tylko do pilnowania pamięci, aby była tylko wiernym i skrupulatnym kopistą, a i to zadanie jest już dość ciężkie. Na szczęście pamięć mam doskonałą i jestem prawie pewien, że nawet po pięciu latach, mimo wszystkich wstrząśnień, które mogły, które musiały naruszyć równowagę umysłową jednostki ludzkiej, nie zmienię treści wypadków, które okropnością przewyższały wszelką wyobraźnię.

Tak, pamięć moja jest urobiona jakby z miękkiego wosku, na którym wszystko się wyryło i mogę pochwalić się, że dzisiaj, po tych strasznych pięciu latach, jestem w stanie przedstawić minutę po minucie, pierwszą noc spędzoną w pałacyku w Nenilly, w którym milioner amerykański okazał mi niezwykłą gościnność. Widzę swój pokój z mosiężnem łóżkiem. ...Widzę siebie w tem łóżku... Przypominam sobie trapiące mnie sny... Tyle ich miałem, ile godzin było w nocy. W głębi pokoju stał wielki zegar w drewnianej szafce. Wcale nie przesadzę, jeżeli powiem, że słyszę jeszcze, jak bił godziny, a jego wydzwanianie budziło mnie za każdym razem i przerywało jedną duszącą mnie zmorę, by narodzić zaraz drugą... Och! te zmory! Łatwo je odgadnąć. Gabryela, moja droga żona, która przychodziła do mnie z młotkiem w ręku, bym zdał jej rachunek z mego postępowania... I Polidor żądający pięciu luidorów!... pięciu luidorów, by mógł wyprawić swej ukochanej matce godny pogrzeb!... i inni... inni... wielu innych, podobnych!


Nie, nie, niech pan nie przesadza.

Wreszcie i ja, jak każde zwierzę, musiałem mieć wytchnienie. Wyczerpany wszystkiemi przejściami tego pamiętnego dnia, z członkami jak połamane, bez czucia i myśli żadnej, zasnąłem koło piątej godziny rano...

Była już dziewiąta rano, gdy obudził mnie swem zjawieniem się Dżim. Na szerokiej jego bronzowej twarzy, śmiały się po zwierzęcemu jego białe zęby i błyszczące oczy.

— Sądziłem, że panie już nie żyje — rzekł. Trzeba było panie mocno ciągnąć! Uf!... Panie dobrze śpi.

Postawił na stoliku filiżankę czekolady z biszkoptami i chciał zaraz odejść. Zatrzymałem go.

— Macie tu poranne dzienniki? — zapytałem.

— Nasz dobry gospodarz przewidział życzenia panie, odpowiedział mi i podał wielki pakiet pism... Panie będzie miał co do czytania aż do śniadania. ...Panie będzie zadowolony.

I oddalił się, klepiąc pantoflami po podłodze. Dla bezpieczeństwa przekręcił dwa razy klucz w mych drzwiach. Siadłem na łóżku i rozłożyłem pierwszy dziennik. Na frontowej stronie u góry widniał mój portret, a pod nim zaczynał się artykuł z nagłówkiem wielkiemi literami:

Tajemnica w Bry — sur — Marne.

Podtytuły były następujące:

Zbrodnia czy wypadek? List rzeźbiarza Barrabasa. Syn ofiary. — Pierwsi świadkowie. Dziwne sprzeczności. — Samochód artysty.

Wyciąłem jeden z tych artykułów. Jeżeli różniły się one co do formy, bardzo jednak były podobne co do treści. Wybrałem najmniej niedokładny:

„Czy wobec tajemniczej zbrodni, czy też wobec mimowolnego wypadku, znalazła się sprawiedliwość? Jakkolwiekby było, dramat okryty jest głęboką tajemniczą. Oto fakty:

Pan Barrabas, znany rzeźbiarz, zamieszkały w Bry — sur — Marne zajmuje tam na drodze do Noisy — le — Grand wdzięczną willę razem z swą żoną i dwojgiem dzieci, dwudziestoletnim synem słuchaczem prawa, Polidorem Barrabas i o rok młodszą od brata córką Eweliną Barrabas. Rodzina ta żyła z sobą w wielkiej miłości i cieszyła się ogólnem poważeniem, dramat też, który w niej się rozegrał, jest zupełnie niezrozumiały...

Pani Barrabas, która jest żoną wybitnej osobistości z towarzystwa paryskiego a mianowicie sławnego adwokata pana Marcadiana, została znaleziona martwa w pracowni swego męża z wielką raną w skroni, zadaną młotkiem artysty; narzędzie zbrodni leżało przy zwłokach.

Służąca państwa Barrabas, która jedyna dotychczas mogła dać pewne wskazówki, odnosząc się do tego dramatu, złożyła przy pierwszem badanin następujące wyjaśnienia.

— „Byłam zajęta na podwórzu, mówiła, na końcu ogrodu, dość daleko od domu, gdy podszedł do mnie pan Polidor. Był cały wzburzony. Rzekł mi: „Ludwiko, zamordowano moją matkę. Znalazłem ją martwą w pracowni ojca. Idź natychmiast do Nogent uprzedzić żandarmeryę.“ Tem bardziej byłam tem wzruszoną i zdumioną, iż przed pół godziną opuściłam panią Barrabas i pannę Ewelinę, która grała na fortepianie... Pobiegłam do pracowni, by samej się o tem przekonać... Zdumienie me zamieniło się teraz w przerażenie.

Zawołałam: „Gdzie jest panna Ewelina?“, na co pan Polidor odpowiedział mi: „Jest u siebie... Nie potrzeba jej przestraszać... Będzie dosyć na to czasu... Idź, idź prędko!“ I pobiegłam jak szalona do Nogent, zwiastując po drodze tę nowinę sąsiadce, pani Carre i Mrugaczowi“, u którego również posługuję!...“

Zbrodnia więc, o ile tylko jest to zbrodnia, została spełniona między dziesiątą a pół do jedynastej. Jest to szczegół zupełnie pewny. Władze bezpieczeństwa udały się natychmiast na miejsce przestępstwa, lecz z chwilą ich przybycia sprawa przyjmuje obrót tajemniczy i nie pozbawiony wielu ciemnych stron. W willi rzeźbiarza znaleziono panią Barrabas martwą w pracowni męża, a córkę jej, Ewelinę, omdlałą na łóżku w pokoju na pierwszem piętrze; syn jednak ofiary znikł i wszelkie bezzwłocznie przedwsięzięte poszukiwania nie doprowadziły do obecnej chwili do żadnego rezultatu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nowy typ aeroplanu.

Rok ubiegający obfitował szczególnie w wynalazki na polu awiatyki. Kiedy dzięki Farmanowi, Delagrange'owi i Wrightowi okazało się, że aeroplany mogą w przyszłości odegrać ważną rolę, tak ze względu na komunikacyę powietrzną jak i ze względu na ich rolę na wypadek wojny, do pracy nad udoskonaleniem maszyn do latania zabrało się wielu inżynierów i mechaników a także wielu dyletantów.

Typy budowanych aeroplanów były najrozmaitsze, a kwestyą sporną do dziś są jeszcze powierzchnie nośne i ich rozmieszczenie, jak również kwestya motoru.

Do najciekawszych i najoryginalniejszych typów należy bezsprzecznie aeroplan szwajcarskiego awiatora Pasquala Bianchi'ego, przedstawiony na naszej illustracyi. Aeroplan szwajcarski należy do typu maszyn jednopłaszczyznowych, a różni się od innych charakterystycznem falistem wygięciem skrzydeł.

Chińska komisya w Anglii.

(Do illustracyi na str. 11).

Mieszkańcy państwa niebieskiego, idąc w ślady swych najbliższych sąsiadów, Japończyków, garną się coraz chętniej do europejskiej cywilizacyi. Zrywają też z dawną tradycyą oddzielania się od reszty świata i coraz częściej wysyłają do Europy misye, które mają za zadanie badać rozmaite europejskie urządzenia, tak wojskowe, jak i społeczne. Główną uwagę zwrócono w pierwszym rzędzie na sprawę reorganizacyi armii i marynarki, by módz stanąć na tym poziomie, na jakim Japończycy już się dawno znaleźli, gdyż i w Chinach uznano europejską zasadę, że tylko silna armia może zapewnić trwały pokój.

Podobne poselstwo, właściwie komisya, wysłana przez zarząd chińskiej marynarki, bawi obecnie w Europie, badając urządzenia europejskich potęg morskich. W skład jej wchodzi kilku wyższych oficerów i urzędników techicznych marynarki w ich narodowych strojach, tak wybitnie różniących się od strojów reszty mieszkańców obu półkul. Dłuższy czas zabawili wysłańcy Chin w Anglii, gdzie zwiedzili dokładnie wszystkie urządzenia marynarki wojennej angielskiej, jak wiadomo, pierwszej obecnie potęgi morskiej świata. Przy tej sposobności oglądano także historyczny okręt wojenny „*Victory*“, na którym zginął w r. 1805 słynny admirał Nelson, właściwy twórca dzisiejszej angielskiej przewagi na wszystkich wodach. Zabytek ten, przechowywany z wielkim pietyzmem, obudził ogromne zainteresowanie chińskich gości, którzy zajmują się bardzo gorliwie historyą Nelsona, przetłómaczoną niedawno z polecenia pekińskiego rządu na język chiński. Chińczykom towarzyszył jako przewodnik wiceadmirał L. Grant.

Illustracya nasza przedstawia gości chińskich na pokładzie historycznego okrętu.

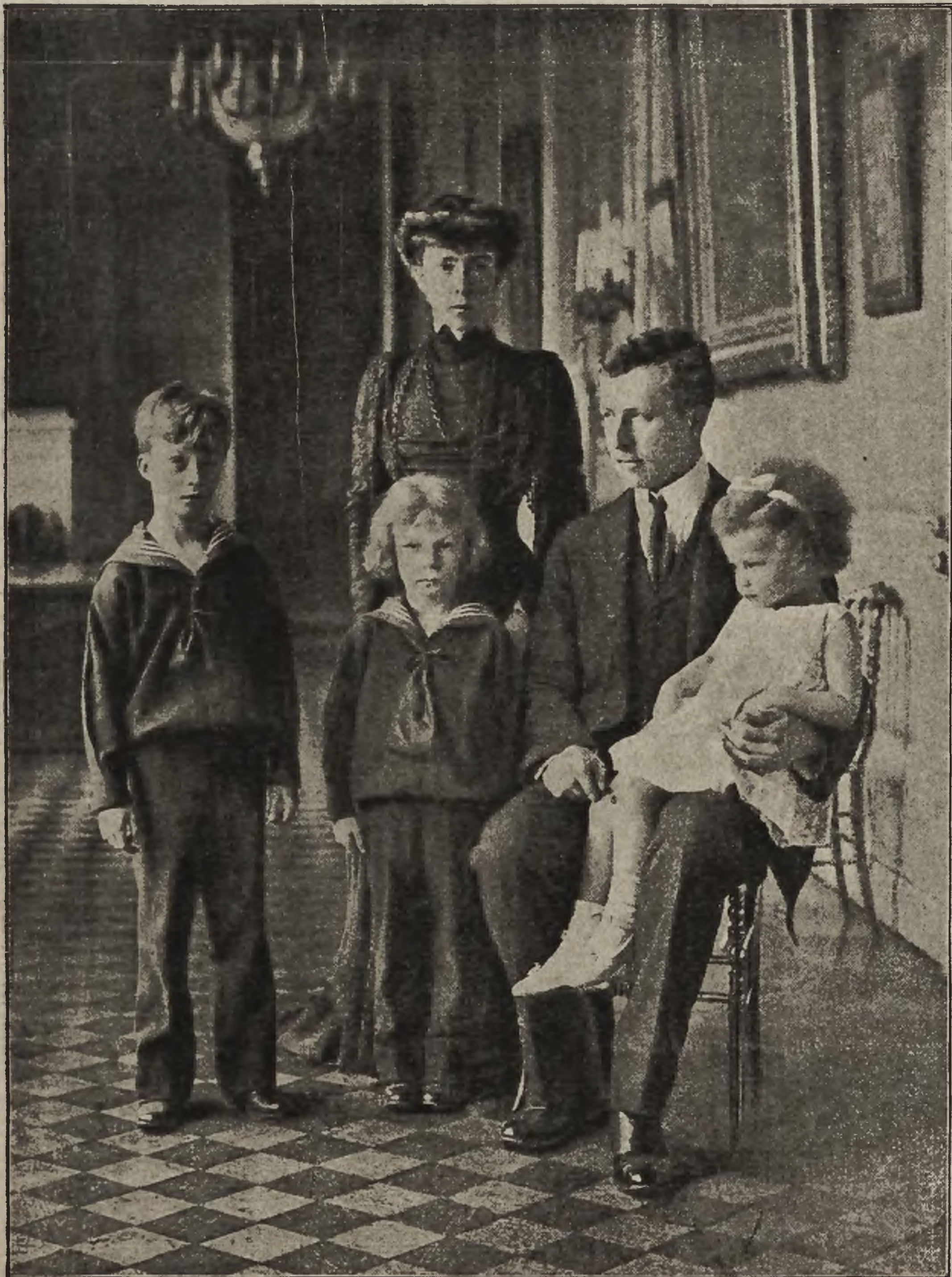


Nowy typ aeroplanu: Maszyna do latania, pomysłu szwajcarskiego awiatora Pasquala Bianchi'ego.

Śmierć znakomitego malarza.

W dniu 9 grudnia b. m. zmarł w Monachium na zapalenie mózgu profesor tamtejszej Akademii sztuk pięknych, Herman Kaulbach, jeden z najznakomitszych przedstawicieli sztuki malarskiej obecnej doby.

Urodzony w r. 1846, był on jedynym synem Wilhelma Kaulbacha, słynnego niegdyś malarza niemieckiego o kierunku klasycznym. Już w zaraniu swego życia okazywał zamiłowanie do poezyi, z czasem jednak przerzucił się na pole malarstwa, gdzie też wkrótce zdobył sobie rycerskie ostrogi. Początkowo kształcił się w Norymberdze, potem w Mo-



Zgon króla belgijskiego: Król Albert I. z żoną Elżbietą i trojgiem dzieci: Leopoldem, Karolem i Maryą.



Zgon króla belgijskiego: Bar. Vaughan, morgan. małżonka Leopolda.

nachium, gdzie zostawał pod wpływem Pilotyego, wzorując się także i na francuskim mistrzu Delarochéu. Dzieła jego cechowała lekkość i pewność kompozycyi, które odziedziczył po ojcu, a wyrobił i pogłębił mozolnemi studyami w monachijskiej akademii.

Z pomiędzy obrazów Kaulbacha bardziej znane są: Ludwik XI. i golarz jego w więzieniu, Spowiedź dziecka, Scena w kościele, Ostatnie dni Mozarta, Sebastyan Bach u Fryderyka Wielkiego, Lukrecya Borgia tańczy w obliczu swego ojca, Fryderyk II., koronujący św. Elżbietę, Nabożeństwo majowe, Skończona pieśń, Świece ofiarne i wiele innych.



Tatrzańskie ochotnicze pogotowie ratunkowe: Członkowie klimatyki: dr. Żychoń, st. komisarz Janowicz (stojący) i skarbnik Ćwiertniewicz. Fot. J. Jaworski, Zakopane.

Początkowo poświęcił się malarstwu historycznemu, najbardziej jednak zasłynął swemi kompozycyami na tle religijnem, z których jedna p. t. *Marya*, przedstawiająca głowę z smutnemi oczyma, schyloną nad śpiącem dzieckiem, z połyskującą łzą w oku, rozeszła się w niezliczonych reprodukcyach po całym świecie. Po mistrzowsku malował także postaci dzieci.

W zmarłym traci sztuka niemiecka jedną z największych swych powag, uznanych nietylko w kraju ojczystym, ale i w całym świecie. Pozostałe po Kaulbachu dzieła zapewniają nazwisku jego sławę na długie lata.

Zgon czeskiego patryoty.

(Do illustracyi na str. 10).

Naród czeski poniósł dotkliwą i bolesną stratę przez śmierć jednego z najzasłużejszych i najwybitniejszych patryotów, śp. Jana hr. Harracha. Był on „ozdobą i świecznikiem“ narodu, którego niepodzielne sympatye zdobył od pierwszego swego wystąpienia.

Jak przeważna część ówczesnej arystokracyi austryackiej, wstąpił hr. Harrach do szeregów armii, którą po kilkunastu latach porzucił w randze majora. Poświęcił się odtąd pracy i służbie publicznej, stając się wzorem szlachcica czeskiego, narodowi swemu oddanego całą duszą.

Śp. Harrach związany był ściśle nietylko z ziemią czeską ale z całem duchowem, dziejowem i politycznem jej życiem. Jako bojownik o prawa narodu swojego odznaczał się stałością przekonań, odwagą ale i umiarkowaniem. W sprawach językowych domagał się zawsze równouprawnienia. Walczył też dzielnie w obronie praw Czechów wiedeńskich. Tą zwłaszcza pracą zniechęcił ku sobie niemieckie stronnictwa liberalne.

Jednym z ostatnich jego czynów było przyczynienie się hojnym datkiem do zakupienia kościoła przy Rennweg w Wiedniu i oddanie go tamtejszej czeskiej ludności. Opiekował się też zawsze czeskiemi stowarzyszeniami oświatowemi i humanitarnemi w Wiedniu, stąd też płynęła jego nadzwyczajna popularność.

To też śmierć hr. Harracha odbiła się bolesnem echem w całym narodzie czeskim, który zdaje sobie sprawę z tego, że nie prędko zjawi się wśród nich drugi taki patryota.

Tatrzańskie ochotnicze pogotowie ratunkowe.

Tatry, jedyne polskie góry o charakterze alpejskim, ściągają do Zakopanego z roku na rok liczniejsze rzesze zwolenników turystyki górskiej. Ogromny w ostatnich kilku latach rozwój taternictwa i nowy kierunek, które ono przyjęło, streszczający się w haśle chodzenia bez przewodnika, zmienił do niepoznania stosunki w tej dziedzinie. Taternictwo, które nie ustępuje dziś wysoko stojącemu alpinizmowi szwajcarskiemu, mając inne a trudniejsze bez porównania od dawniejszych zadania, nawet zewnętrznie różni się dziś od taternictwa z czasów Chałubińskiego. Zniknęły wysokie buty, „wygodne“ ale nie nadające się do gór stare trzewiki, surduty, laski miejskie itp. a ich miejsce zajęły ciężkie alpej-



Tatrzańskie ochotnicze pogotowie ratunkowe: Dr. Wł. Kraszewski, członek zarządu i lekarz pogotowia ratunkowego. Fot. J. Jaworski, Zakopane.



Caruso przed ożenkiem: Caruso ze swą narzeczoną na przechadzce.

skie trzewiki, czekany, liny, płaszcze nieprzemakalne etc.

Z rozwojem taternictwa zaczęły się w górach wypadki, czego dawniejsi turyści, chodzący zawsze z pomocą przewodników, niemal zupełnie nie znali.



Tatrzańskie ochotnicze pogotowie ratunkowe: Dr. Dłuski, właściciel Sanatoryum i prezes pogotowia.

Dziś co roku Tatry zabierają jedną, dwie lub więcej ofiar z życia ludzkiego, nie licząc wielu przygód i wypadków, nie kończących się śmiercią.

Niedostateczność akcyi ratunkowej w latach poprzednich zniewoliła ludzi dobrej woli do założenia towarzystwa, którego celem według statutu jest „poszukiwanie zaginionych turystów oraz niesienie pomocy w nieszczęśliwych wypadkach na obszarze Tatr“.

Śmierć Karłowicza, który w roku bieżącym zginął tragicznie, porwany śnieżną lawiną pod Małym Kościelcem, przyspieszyła akcyę, rozpoczętą jeszcze przed dwoma laty. I oto w jesieni 1909 ukonstytuowało się ostatecznie młode Towarzystwo. Inicyatorem towarzystwa jest p. Maryusz Zaruski, stale zamieszkały w Zakopanem. Pierwsze Walne Zgromadzenie Pogotowia, odbyte w grudniu, dało następujący skład Zarządu: Prezes dr. Kazimierz Dłuski, dyr. sanatoryum, I. wiceprezes Władysław Janowicz, inspektor stacyi klimatycznej, II. wiceprezes Stanisław Barabasz, dyr. szkoły rzeźbiarskiej, członkowie Zarządu: pp. dr. Władysław Kraszewski, Marya Kulczycka, Kazimierz Brzozowski i Floryan Grużewski.

Naczelnikiem Straży Ratunkowej został obrany p. Maryusz Zaruski, zastępcą jego p. Klemens Bachleda, słynny przewodnik tatrzański.

Straż ratunkowa Pogotowia składa się z najlepszych przewodników tatrzańskich oraz z doświadczonych turystów. Wszyscy członkowie Straży z naczelnikiem złożyli ślubowanie, pod słowem honoru w razie wypadku „bez względu na porę roku, dnia i stanu pogody udać się w góry w celu poszukiwania zaginionego i niesienia mu pomocy“.

Straż ratunkowa w obecnym składzie już siedm razy wychodziła na ratunkowe wyprawy, a kilku ludzi zawdzięcza jej swe życie. Jedna wyprawa po dra Weissa, który zaginął bez wieści, trwała 5 dni, dwie wyprawy po trzy dni, cztery po jednym dniu.

Odpowiedzialność i praca Straży w górach jest wielka i ciężka; wymaga dużego doświadczenia i siły. Cała akcya ratunkowa spoczywa w rękach naczelnika, który też odpowiada za przebieg jej przed Zarządem. Wszyscy członkowie Straży przeszli kurs lekarski pod kierunkiem dra Kraszewskiego i kurs ratownictwa, który prowadził p. M. Zaruski: obecnie stanowią zbiorową jednostkę, wyćwiczoną i sprawną, gotową nieść pomoc w górach każdej chwili.

Pogotowie posiada trzy komplety przyborów ratunkowych, szczupłość wszakże środków nie pozwala towarzystwu na razie na sprawienie dalszych kompletów, których potrzeba daje się bardzo odczuwać. Nie wątpimy, że społeczeństwo nasze poprze usilnie humanitarną instytucyę, zapisując się licznie w poczet jej członków, tembardziej że wysokość wkładki jest bardzo nieznaczna. Członkowie zwyczajni mianowicie płacą rocznie 2 kor., członkowie wspierający rocznie 10 koron. Wpisowego niema. Członkowie zwyczajni i wspierający nie są obowiązani do niesienia pomocy w górach. Obowiązek ten ciąży wyłącznie na członkach czynnych, z których się składa Straż ratunkowa.



Tatrzańskie ochotnicze pogotowie ratunkowe: Maryusz Zaruski, naczelnik i pierwszy inicyator pogotowia.

Z procesu koalicyi serbsko-chorwackiej.

(Do illustracyi na stronie 10).

Toczący się od kilkunastu już dni przed ławą przysięgłych w Wiedniu proces przeciw dr. Fried-



Rybołostwo przedświąteczne: Centrum handlu ryb nad Wisłą w Krakowie. (Do art. na str. 12).

jungowi i redaktorowi *Reichspost* Ambrosowi, oskarżonym przez członków koalicyi serbsko-chorwackiej o obrazę czci, budzi stałe zainteresowanie, zwłaszcza z powodu interesujących zeznań, składanych przez świadków, powołanych bądź przez oskarżycieli bądź przez obronę.



Tatrzańskie ochotnicze pogotowie ratunkowe: Klimek Bachleda, pomocnik naczelnika.

Okazało się więc przedewszystkiem, że dokumenty, przedłożone przez dra Friedjunga, a mające stwierdzić słuszność zarzutów, poczynionych przez niego i przez *Reichspost* koalicyi serbsko-chorwackiej co do zdrady stanu, są sfałszowane. Mogą więc one conajwyżej stanowić dowód dobrej wiary autorów artykułów przeciw koalicyi serbsko-chorwackiej, członków jednak tej koalicyi nie obciążają.

Bardzo stanowcze były zeznania znakomitego uczonego czeskiego, posła dra Massaryka, a bardzo korzystne dla oskarżycieli. Prof. dr. Massaryk mianowicie oświadczył, iż jego zdaniem zarzuty przeciw członkom koalicyi serbsko-chorwackiej nie mają rzeczywistej podstawy. Dokumenty, przedstawione przez oskarżonych, a świadczące na niekorzyść oskarżycieli, uważa stanowczo za sfałszowane. Uważa się za miarodajnego w tym kierunku, ponieważ zna doskonale stosunki południowej Słowiańszczyzny, był też przez czas jakiś w Belgradzie, gdzie ma wielu przyjaciół.



Pokonanie obstrukcyi: Wacław Kotlarz, trzynastogodzinny mowca obstrukcyi.

Zeznania prof. Massaryka przyjęła obrona oczywiście bardzo nieżyczliwie, ale powaga naukowa, jaką prof. Massaryk się cieszy, zapewnia im wiarogodność.

Staroegipska tancerka.

(Do illustracyi na stronie 10).

W salach monachijskiego pałacu sztuki wystąpiła żywa tancerka staroegipska Sent M'aheza. Już sam fakt, że na występy tancerki przeznaczono salony pałacu sztuki, kazał przypuszczać, że nie będą to występy jakiejś subretki ale prawdziwej artystki-tancerki. To też mimo, że reklama wcale występów nie poprzedzała, w salonach pałacu sztuki znalazła się elita sfer artystycznych Monachium.

Tańce tej staroegipskiej tancerki, oparte na sumiennych studyach, odznaczają się niezwykłym smakiem i pomysłowością artystyczną. Tak stylowa charakteryzacya jak i jej naturalne warunki sprawiają, że widz ma istotne złudzenie, iż przed nim stoi, porusza się i tańczy staroegipcyanka z przed trzech tysięcy lat.

Koniec przesilenia na Węgrzech?

Nieprawdopodobną dość wiadomość przyniosły przed kilku dniami dzienniki wiedeńskie i galicyjskie. Wiadomość o bliskim końcu przesilenia parlamentarnego na Węgrzech. Istotnie jest to wiadomość tak niespodziewana, iż trudno ją przyjąć z zupełnem zaufaniem.

Przesilenie na Węgrzech trwa, dzięki Bogu, już parę miesięcy, a wszystko zdawało się zapowiadać jeszcze parę dalszych miesięcy prowizoryum rządowego.



„Berek Joselowicz“ na scenie: Zenon Parvi, autor wystawionej w teatrze ludowym sztuki.

Sfery decydujące nie mogły się mianowicie zgodzić na wybór szefa gabinetu, czy też kandydaci nie chcieli ofiarowanego mandatu przyjąć. Dopiero w ostatnich dniach dniach ogłoszono, iż premierem na Węgrzech ma zostać żnany polityk węgierski, dr. Lukacs.



Tatrzańskie ochotnicze pogotowie ratunkowe: Gmach klimatyki w Zakopanem.



Koniec przesilenia na Węgrzech: Dr. Adam Lukacs.

A. K. Green.

Który z nich?

16 (Dokończenie).

Rozglądając się w nim teraz, zastanawiałem się, w jakim celu młody agent sprowadził mnie do niego tak pośpiesznie i jaki nowy pomysł jawił mu się w głowie. Nie śpieszył się jednak z wyjaśnieniem. Naprzód rzucił badawcze spojrzenie dokoła, by przekonać się, czy nic nie było tu ruszane od czasu ostatniej jego bytności, potem uspokojony podszedł do okna i spuścił roletę.

— Nie trzeba kusić swymi sprawami ciekawości pana Rozentala, nie prawda? — rzekł. — Co zaś do pana, to mogę liczyć na pańską dyskrecyę. Nie będzie pan śpieszył się z opowiadaniem każdemu, co tu stanie się między mną tylko a panem.

— Z pewnością, że nie!

We wzroku jego przeczytałem ufność ku sobie.

— O ile można być pewnym, do pokoju tego, od chwili wyniesienia stąd zwłok pana Hardy'ego, nie wchodził nikt oprócz przedstawicieli władzy.

Mówiąc to, zdjął maszynę do pisania z szafy i postawił ją na dawnem miejscu, na rogu biurka.

— Czy nowy pomysł pański odnosi się właśnie do tej maszyny? — zapytałem zdumiony.

Zmarszczył lekko brwi, lecz zaraz rozpogodził twarz, będąc z natury miłego usposobienia. Rzucił też na mnie błagalne wejrzenie.

— Jestem jeszcze młody, panie Maujean. Bardzo możliwe, że zająłem sobie głowę błahostką. Proszę, niech pan na chwilę nie zajmuje się wcale mną i pozwoli mi dokonać jednej rzeczy. Jeżeli przekonam się, że się pomyliłem, lub że teorya ma jest błędną, dam panu znak i wtedy zastanowimy się, co trzeba będzie robić dalej.

— Może pan woli, bym przeszedł do innego pokoju?

Nie chciał już jednak mnie słuchać.

— Proszę tylko, by pan odwrócił głowę, gdy ja się nachylę nad tą maszyną.

Uczyniłem natychmiast to, o co prosił. Przez dość długą chwilę pozostawał w zupełnej nieruchomości, nie dotykając się nawet maszyny. Nigdy jednak nie zapomnę okrzyku, jaki wyrwał mu się nagle z piersi. Brzmiała w nim tak żywa radość, iż obróciłem się w tej chwili i pośpieszyłem do maszyny, nad którą był ciągle pochylony. Przyjął mnie z wyrazem zwycięstwa w oczach.

— O! Niech pan patrzy, proszę tylko spojrzeć! Ach! Jakbym chciał, by Rollin był tutaj! Widzi pan te litery? Proszę spojrzeć na to dotknięcie, na to i na tamto! Co pan tu widzi?

— Powierzchnia jest pobrudzona. Jest na niej coś.... Możnaby powiedzieć, że...

— Klej! — zawołał Doucet. — Klej, który pan Hardy przewrócił, gdy zbliżał się do maszyny, który rozlał na biurku i który na palcach przeniósł na litery maszyny. Klej ten widać jeszcze na stole, gdyż Rollin zabronił najsurowiej dotykać się czegokolwiek w tym pokoju; kurzów nawet nie ścierano tu. Klej ten wysechł i znaczy się obecnie małemi odciskami, które wskazują jednak wyraźnie na litery, które naciskał pan Hardy. Przepraszam, mylę się, które chciał naciskać, gdyż widocznem jest, że niektórych z nich dotykał się zbyt lekko, by mogły odbić na papierze litery, które przedstawiają. Inne zaś były naciskane kilka razy, tak ślady kleju są wyraźne.

— Przenikliwość pańska jest rzeczywiście zdumiewającą, drogi panie Doucet, lecz nie widzę jeszcze do czego pan zmierza. Nie mogę domyśleć się, o ile posunął się pan w wyjaśnieniu tej tajemnicy?

— I pan się o to pyta na seryo? Ależ niech pan pomyśli tylko, że my mamy tutaj niezbite ślady liter, które pan Hardy chciał napisać, lecz których nie zdołał tylko dość silnie przycisnąć z powodu wzmagającego się osłabienia!

— Jednak...

— Niech pan zwróci uwagę i na to, iż nas dotychczas zatrzymywało tylko niejasne znaczenie ostatniego jego zlecenia! Zdanie to tak znacząco przerwane, będziemy mogli...

— Dokompletować! Panie, pan jesteś geniuszem — zawołałem zachwycony.

— Sądzę, że za wiele mi pan przyznaje — odparł młody agent tonem, którym chciał wyrazić całą swą skromność. — Pewnem jednak jest, że ta maszyna może nam oddać nieocenione usługi. Trzymajmy się tylko ścisłej metody.

Wyjął z portfelu kawałek złożonego papieru.

— Jest to dokładna kopia tego listu. Kończy się on, jak to pan zapewne pamięta, temi słowami: ...en z mych synów ma. Starano się dokończyć to zdanie. Sądzono, że słowo, które pan Hardy chciał napisać, gdy go opuściły siły, było „mnie otruł". Możemy już jednak odrzucić tę hipotezę. Niech pan przyjrzy się, że litera r niema najmniejszego śladu kleju.

— Istotnie.

— Natomiast d ma na sobie odcisk palca, mimo, iż nie znajdujemy go w żadnem z tych słów.

— Trzeba sprawdzić w ten sposób i inne litery.

— Właśnie mam zamiar to uczynić.

I mój pomysłowy towarzysz zaczął wypisywać litery na końcu arkusza, na którym skopiował ostatni list pana Hardy'ego.

— Proszę porównać — rzekł pisząc. — Litery z wyraźnemi śladami kleju mamy następujące: s, z, a, n, y, m; ze słabszemi odciskami są te: c, d, h, e, u, t, ó, w.

— Ależ t wcale niema w tem zdaniu — zawołałem niecierpliwie.

— Już to zanotowałem sobie w pamięci. Mamy w ten sposób dwie litery d i t, których umierający nie zdołał napisać. I one stanowią całą trudność. Wszystkie poprzednie litery składają ostatnie słowa pana Hardy'ego. Lecz te?...

— Nie wchodzą one do słowa ani otruł, ani zabił, brak i innych liter. A może to było jakie imię? Imię winowajcy? Lecz to niemożliwe — dodałem zaraz. — Żaden z synów nie nazywa się Jan, coby w ostateczności można dopuścić, gdyż J ma, zdaje się, jakiś znak... o, tutaj... z prawej strony.

— Nie, nic nie widzę. Zresztą imię to nicby nam nie wyjaśniło. Trzeba szukać innego.

— Może pan Hardy chciał dodać jeszcze jakie słowo przed napisaniem imienia zabójcy?

— Nie żądałby w takim razie z tak wielkim naciskiem, by list ten doręczono pannie Genowefie.

— Rzeczywiście, to prawda — potwierdziłem zniechęcony. — Co w takim razie począć?

— Przedewszystkiem odrzućmy to słowo zabił, którego nie możemy przyjąć dla braku odpowiednich liter, a teraz szukajmy, każdy z osobna, zadawalającego rozwiązania... Ach!...

— Co znowu?

Zamiast odpowiedzi młody agent potrząsł niecierpliwie głową. Opanowało nim jakieś niezwykłe wzruszenie. Czerwienił się i bladł naprzemian. Pisał różne litery, potem je zamazywał ciągle z jednakowo niecierpliwemi ruchami.

Widząc, że nic od niego nie wydobędę, zacząłem sam układać najrozmaitsze słowa z literami d i f. Żadne z wynalezionych przezemnie słów, muszę to wyznać, nie nadawało się jednak do tego zdania; wiele kłopotu sprawiały mi i te dwie ostatnie litery w liście pana Hardy'ego: ma. Znużony tem daremnem poszukiwaniem, zwróciłem myśl mą do małej willi w Asnieres, ukrytej dyskretnie między drzewami, gdzie Genowefa oddaje ostatnie usługi swej nieznanej kuzynce.

Lecz jakże naraz stanąłem osłupiony, a można nawet powiedzieć, że prawie przerażony, gdy mi towarzysz mój podsunął niespodzianie przed oczy kawałek papieru z następującemi słowami: żaden z mych synów. Mateusz!

Sporo chwil upłynęło, zanim ocknąłem się ze zdumienia. Jak przez sen słuchałem wyjaśnień młodego agenta:

— Aha, nie spodziewał się pan tego, prawda? Wiedziałem, że pana zadziwię. Och, domyślam się, co pan chce mi powiedzieć — ciągnął dalej z przejęciem, nie dostrzegając wcale oszołomienia, o jakie mnie przyprawił. — To, że niema kropki po słowie „synów" i następnie dużej litery, któraby wskazywała, że m i a należą do imienia własnego. Lecz, drogi panie, niech pan sam powie, jak można wymagać od umierającego, by zważał na punktacyę i na wielkie litery. Widzi pan, że nie dokończył on nawet ostatniego słowa i wcale tego nie zauważył. Jestem przekonany, że wreszcie odkryłem prawdę... Co mnie wprowadziło na tę drogę? Pański pomysł, by dopatrywać się tu imienia Jan, chociaż żaden z trzech braci tak się nie nazywa. Zastanowiłem się wobec tego, czy przypadkiem rzeczywiście pan Hardy nie chciał napisać tu imienia winowajcy. Nie mogło to być Lionel, ponieważ na swej liście nie mamy wcale l, dla braku f nie był to Alfred, ani Jerzy, gdyż do jego imienia potrzebne jest r. Jednem słowem nie te imiona. Słowo żaden, które ciągle błąkało mi się po głowie, w końcu zwróciło mą baczniejszą uwagę... Tak, przed tem en jest miejsce akurat na trzy litery, może więc być jeden lub żaden; w jednem i drugiem jest właśnie ta nieużyta litera d, ale aby mogło być jeden potrzebne jest j, które niema na maszynie śladu kleju, natomiast na z jest on jak najwyraźniejszy, musi więc być żaden. To żaden zmieniało odrazu cały sens i znaczenie tego zdania. Potem już najmniejszej nie stanowiło trudności natrafienie na imię Mateusz pomiędzy osobami, które miały ciągły dostęp do pana Hardy'ego i które owego wieczoru miały sposobność dolać mu trucizny do wina.

Podczas tego długiego wyjaśnienia odzyskałem zwolna swą zimną krew. Rozwiązanie tajemnicy, podane przez Douceta, tak bardzo różniło się od tego, co mnie przychodziło do głowy, iż teraz cała masa zarzutów cisnęła mi się na myśl.

— Cóż w takim razie mogło skłonić tego biednego starca, by otruł swego pana, któremu od tylu lat służył z największem poświęceniem?

— Jeżeli panu chodzi o pobudki zbrodni, to zaraz je panu przedstawię.

Wyjął z kieszeni dokument, który rozłożył przed memi oczyma. Była to kopia testamentu pana Hardy'ego. Domyśliłem się, co ma na myśli.

— Pięć tysięcy franków — mówił dalej młody agent — nie jest to wielka suma dla pana, dla niego jest to jednak cały majątek.

— I sądzi pan, że dla takiej bagatelki człowiek ten...

Nagle agent położył palec na ustach. Za drzwiami rozległ się lekki szmer.

— Teraz — rzekł, podnosząc głos — postawmy na dawnem miejscu tę maszynę, która, o ile się nie mylę, będzie miała pierwszorzędne znaczenie w rozprawach sądowych.

Potaknąłem głową w milczeniu i razem przenieśliśmy maszynę na szafę. Następnie agent zwrócił na mnie swe małe, szare oczy, błyszczące jakimś żywym ogniem i szepnął półgłosem:

— Chcę sprawę zakończyć na poczekaniu.

Zbliżył się na palcach do drzwi, otworzył je nagle i skoczył do westybulu. W chwilę potem usłyszałem odgłos walki i jakiś zduszony krzyk. Wybiegłem na to z pokoju; przed drzwiami ujrzałem, jak stary Mateusz leży przewrócony na podłodze, a młody agent, naciskając mu piersi kolanem, dławi go za gardło.

— Nędzny zbrodniarzu! — wołał Doucet, zwracając w moją stronę zaczerwienioną i przerażoną twarz służącego. — Tyś wlał truciznę do kieliszka swemu panu!...

Napad ten był tak niespodziany, głos młodego agenta brzmiał takiem przekonaniem, iż starzec nie starał się nawet zaprzeczać.

— Łaski! — jęczał. — Jestem już stary, chciałem odpocząć... mały domek na wsi... trochę wolności na stare lata...

Tymczasem w westybulu zjawiło się z pół tuzina przestraszonych twarzy. Byli to służący, którzy przybiegli na ten hałas. Pchali się, cisnęli, jak owego wieczoru, gdym był tu po raz pierwszy. Widząc Mateusza w tak niewygodnej pozycyi, kilkoro z nich zaczęło głośno lamentować.

— Cicho, wy, tam! — zawołał Doucet — a jeden z was niech biegnie po policyę. Ten stary, którego uważano za najlepszego, najwierniejszego sługę, przyznał się do strasznej zbrodni, która do rozpaczy doprowadziła całą rodzinę, która miała hańbą okryć waszych młodych panów. Płaczcie, jeżeli chcecie, ale płaczcie po cichu, by nie robić alarmu niepotrzebnego w domu. Ten pan — wskazał na mnie — pierwszy zaniósł smutną wiadomość o śmierci pana Hardy'ego jego synom. Temu panu też przysługuje obecnie prawo, by pierwszy im oznajmił o schwytaniu prawdziwego zbrodniarza. Pan Jerzy i Alfred zapewne są na górze?

— Tak, panie, są u siebie — odezwał się jakiś głos.

Na znak Douceta wstąpiłem na schody. Młody agent poszedł za mną. Więźniowi swemu nałożył kajdanki na ręce i oddał go pod straż policyantowi, który, rzecz dziwna, zjawił się na pierwsze wezwanie.

Jak i pierwszego wieczoru zapukałem naprzód do drzwi pokoju Jerzego. Odpowiedział mi jakiś ostry głos. Wszedłem do pokoju, mając za całe tłómaczenie swej niedyskrecyi lekki uśmiech na ustach.

Obraz, jaki tu ujrzałem, zdziwił mnie i napełnił obrzydzeniem. W pokoju panował najzupełniejszy nieład, pośrodku stał stół do gry, przy którym siedział młody człowiek. Dla zabicia czasu kładł pasyans, zapewne w oczekiwaniu swych zwykłych towarzyszy. Na mój widok podniósł się na pół z krzesła, opierając się rękoma o stół. Wzrokiem zdawał się pytać mnie, czego chcę.

— Przepraszam, że panu przeszkadzam — odezwałem się. — Przynoszę panu doskonałe nowiny.

— Nowiny?

— Tak, naprzód, że pański brat będzie zaraz

uwolniony. Następnie, że winowajcę odkryto. Chociaż mieszka on w tym pałacu, nie nosi jednak nazwiska Hardych. Jest to Mateusz, stary służący.

Na słowa me wyciągnął przed siebie ręce z wielkim okrzykiem, potem, dysząc ciężko, opadł osłabiony na krzesło.

— Zawsze utrzymywałem, że Lionel jest niewinny — rzekł ochrypłym głosem i z energią, jakiej nigdybym się w nim nie spodziewał. — Zawsze mówiłem, że on był... także niezdolny... do podobnej rzeczy... że...

Nie kończąc zdania, ani nie zwracając na nas uwagi, zdawał się zagłębiać w swych myślach. Doucet skierował się do drzwi. Wyszliśmy, zamykając je delikatnie za sobą. Pośpieszyliśmy następnie na wyższe piętro. Pokój, którego szukaliśmy, był otwarty. Jak i brat jego, Alfred siedział przy stole. Nie było jednak na nim ani kieliszków, ani kart. Młody człowiek zajęty był bardzo pisaniem listów. Doucet posunął się naprzód, oznajmiając swą obecność lekkim kaszlem.

— Pozwoli mi pan — rzekł — przedstawić sobie pana Maujeana, który chce złożyć panu swe serdeczne gratulacye.

— Gratulacye? — Nie potrafię określić, co bardziej, ironia czy rozpacz charakteryzowały ton głosu, którym powtórzył to słowo. — Gratulacye! Czy można wiedzieć?...

— Pozdrowienia, iż czarne chmury, które zebrały się od niejakiego czasu nad tym domem, wreszcie rozwiały się, że pański brat Lionel, zaraz będzie wolny, iż niewinność jego zostanie uznana i honor nienaruszony i że w miejsce jego drzwi więzienia zamkną się za starym Mateuszem, który przyznał się do otrucia pańskiego ojca.

— Mateusz!... Stary Mateusz!... Czy panowie nie żartują ze mnie?

— Nie, daleko od nas była podobna myśl — odparłem. — To, co powiedział pan Doucet jest najzupełniejszą prawdą. Mateusz wszystko wyznał. Chciał zamieszkać w małym domku na wsi. Wiedział, iż po śmierci pana Hardy'ego miał otrzymać zapis i zapragnął jak najwcześniej z niego korzystać. Ojciec pański za późno spostrzegł, że on jest winowajcą i chciał o tem uwiadomić pannę Saugey w tych słowach: żaden z mych synów. Mateusz. Brakło mu jednak sił i zdanie to pozostało ani nie zaczęte dobrze, ani nie dokończone. Pan Doucet wytłómaczy panu wszystko.

Alfred spojrzał na nas. Widząc, że przypatrujemy mu się ciekawie, upadł na fotel i zakrywając sobie twarz rękoma, zawołał urywanym głosem:

— Nie patrzcie na mnie, błagam o to. Cały ten wstyd, wszystkie smutki! I to był Mateusz! Och, Genowefo! Genowefo!

Opuściliśmy go. Nie mogliśmy już nic więcej uczynić dla niego. Zstępując na dół, Doucet rzekł mi z tajemniczym uśmiechem:

— Jeżeli pan zna kogo, komu wiadomość o niewinności braci Hardych mogłaby sprawić radość, niech pan śpieszy do niego z tą wieścią. Ja idę złożyć raport sędziemu śledczemu i otrzymać od niego rozkaz natychmiastowego uwolnienia Lionela.

VIII.

Na śledztwie Mateusz wyznał wszystko otwarcie, w jakich okolicznościach przyszła mu na myśl ta zbrodnia i jak wreszcie z dyabelską wytrwałością jej dokonał. Zamiar ten powstał w jego głowie, gdy pewnego dnia, wchodząc do gabinetu pana Hardy'ego, by w nim posprzątać, ujrzał na stole kopię testamentu swego pana. Przeczytał tam i swe nazwisko z sumą pięciu tysięcy franków. Narazie nie wywarło to na nim żadnego wrażenia, nie odczuł nawet wdzięczności... potem jednak marzenia jego skrystalizowały się w jednem gorącem pragnieniu pieniędzy, które go męczyło dniem i nocą. Gdy pan Hardy zachorował raz i mimo silnej kompleksyi zmuszony był położyć się do łóżka, chęć jego przyoblekła się już w konkretne kształty. Ujrzał przed sobą możliwość skorzystania z zapisu, zanim się zupełnie zestarzeje. Postanowił zwracać baczną uwagę na objawy choroby swego pana. Usługując przy stole, usłyszał pewnego dnia, iż pan Hardy przyjmuje jako środek leczniczy bardzo silne lekarstwo, lecz w małych dozach. Gdy następnie w kilka dni potem dowiedział się, iż lekarz uważa swego pacyenta za wyleczonego prawie zupełnie, przyszło mu na myśl, iż kilka kropel tego silnego lekarstwa może zaradzić zawodowi, jakie mu sprawia ta rekonwalescencya. Usuną one przeszkodę, zagradzającą mu drogę do tego małego legatu.

Wykonanie tego niecnego zamiaru nie przedstawiało żadnych trudności. Pan jego już na tyle czuł się dobrze, iż nocą nie czuwano przy nim; przygotowywano mu tylko lekarstwo, które on potem przyjmował sam. Trzeba więc tylko wsunąć się po cichu do pokoju chorego i nieznacznie powiększyć dozę lekarstwa. Mateusz dość często spędzał przy nim noc i zdołał tak zręcznie nalać tego zabójczego środka, iż flaszeczka nie wydała najmniejszego dźwięku.



Detektyw podsunął mi pod oczy kartkę papieru.

Z nadejściem nocy uczynił, co postanowił. Zdawało mu się, że wszystko odbyło się jak najpomyślniej, gdy tymczasem rano nie dosłyszał żadnych płaczów, czego się słusznie mógł spodziewać. Nie rozumiał, co zaszło. Wkrótce dowiedział się, że chory przewrócił mimowoli z takim trudem przygotowane przez niego lekarstwo. Na domiar nieszczęścia wylano przy nim całą zawartość flaszeczki, a doktór oznajmił, że od tej pory pan Hardy będzie przyjmował inny środek, nie przedstawiający żadnego niebezpieczeństwa.

— Co to ma znaczyć? — pomyślał — i jak się teraz mam wziąć do rzeczy?

Nastąpił dla niego teraz okres zupełnego zniechęcenia. Praca ciążyła mu coraz bardziej. Zaczął nienawidzieć człowieka, który przez swą niezręczność wylał lekarstwo, zamiast je wypić, co dozwoliłoby mu skorzystać natychmiast z tego zapisu. Podobne uczucia wzbudziły się w nim i względem trzech braci, którzy byli jeszcze dość młodzi, by czekać na otrzymanie swego majątku, podczas gdy on, przy swoich latach, musiał się śpieszyć. Szczególniej nie cierpiał dwóch starszych braci. Alfred był mu obojętniejszy, a może i lubiał go po swojemu, ponieważ nawet cieszył się, że i on skorzysta ze śmierci ojca, o ile tylko Mateuszowi nadarzy się sposobność zadać mu ją.

Pewnego ranka znalazł w pokoju Lionela flaszeczkę, która z samego wyglądu swego zwróciła jego uwagę. Była mała, zawierała w sobie jakiś ciemny płyn i wogóle miała w sobie coś dziwnego, co mu się podobało. Wziął ją do ręki, odkorkował i powąchał. Silny zapach gorzkich migdałów rozszedł się po pokoju. Przypomniał sobie, że kwas pruski wydaje taką woń, że jest to niezwykle silna trucizna, której jedna kropla starczy na wysłanie człowieka na tamten świat.

— Musi to być kwas pruski — pomyślał stary Mateusz. — Można spróbować. Jeżeli spostrzegą zniknięcie flaszeczki, powiem, żem ją upuścił i że się zbiła.

Los zdawał się sprzyjać mu. Od pewnego czasu, a zwłaszcza od ostatniej choroby pan Hardy, gdy miał pragnienie, jemu polecał przygotować szklankę syropu. Mateusz dnia tego umyślił podać panu swemu orszadę, z którą najlepiej miesza się kwas pruski i traci w niej swój zapach. Wieczorem umyślnie układał dłużej srebro i kryształy w kredensie, czekając, aż pan zadzwoni na niego i zażąda swego zwykłego napoju. Podczas gdy był tem zajęty, wszedł tam Jerzy po butelkę wina, a później Alfred i zapytał go, czy nie widział gdzie jego złotej skówki do ołówka. Po ukończeniu swej roboty miał już zejść do kuchni, gdy nagle Lionel zażądał kieliszka malagi dla ojca. Znamionowało to bardzo przykrą dla niego zwłokę czasu. Jeżeli pan Hardy będzie pił to wino, to w takim razie nie weźmie już tego wieczoru orszady. Chcąc nie chcąc, wziął butelkę z kredensu i podał ją Lionelowi, który nalał kieliszek i zaniósł go ojcu. W chwilę potem usłyszał, że młody człowiek wychodzi z domu. Bez wątpienia udawał się na jedno z swych licznych zebrań.

Naraz, nie wiedząc nawet dlaczego, zapragnął bardzo zobaczyć swego pana. Poprzednio słyszał jakby odgłos kłótni między ojcem a synem. Ciekawy był, czy bardzo pan Hardy jest rozgniewany. Wychodząc z sali jadalnej, ujrzał, iż drzwi do gabinetu są na pół otwarte, skorzystał też z tego i rzucił do środka badawcze spojrzenie. Pan Hardy stał oparty o kominek, pozostając zapewne w tej samej pozycyi, w jakiej opuścił go syn. W ręku trzymał kieliszek wina, który mu przyniósł Lionel. Nie wypił go, lecz przyglądał mu się z dziwnym wyrazem w oczach, z twarzą bladą i jakby zmieszaną. Nagle poruszył się, spojrzał ku drzwiom, jakby chciał upewnić się, czy nikt nie nadchodzi, poczem podszedł do okna, otworzył je i wylał wino na ulicę. Po uczynieniu tego zamknął okno, przyczem głęboko westchnął, prawie że jęknął i skierował się z kieliszkiem w ręku do sali jadalnej. Spotkawszy Mateusza w westybulu, polecił mu przygotować dla siebie szklankę zwykłej orszady.

— Chciałem to już uczynić, proszę pana, lecz pan Lionel powiedział, że dzisiaj pan napije się malagi.

— Tak, tak, wiem. Nic nie szkodzi; mam dzisiaj większe pragnienie.

Mateusz pośpieszył przyrządzić syrop, podczas gdy pan jego wrócił do swego gabinetu. Nie rozumiał on tego nagłego wstrętu, jaki pan Hardy okazał do kieliszka malagi, postanowił jednak natychmiast skorzystać z okazyi, jaka się mu nastręczała. Wylewając zawartość flaszeczki, nie spostrzegł, że koreczek od niej potoczył się na podłogę. Wychodząc z sali jadalnej, trącił nogą jakiś mały przedmiot, leżący na dywanie. Jako dobry służący podniósł go zaraz, przekonał się, że to była złota skówka Alfreda. Włożył ją więc do kieszeni od kamizelki, w której poprzednio schował flaszeczkę po truciźnie.

Po spełnieniu tego wszystkiego człowiek ten, którego pan Hardy uważał raczej za przyjaciela, niż za służącego, wszedł do gabinetu i bez najmniejszego skrupułu, bez najmniejszej myśli, że dopuszcza się czegoś wstrętnego, anormalnego, podał swemu panu szklankę z trucizną. Miał przytem tyle odwagi, iż poczekał, dopóki pan Hardy nie wypił

wszytkiego. Zadziwił się, iż nie pada on odrazu martwy. Wyobrażał sobie, iż kwas pruski jest trucizną, działającą natychmiastowo. Ten ciemny płyn, pachnący gorzkimi migdałami, nie był więc tem, za co on go uważał? Więc znowu w dalszym ciągu potoczy się to życie, które już tak bardzo zaczynało mu ciążyć?

Stał tam ciągle przejęty temi myślami, gdy nagle spostrzegł, iż ta nieruchoma jego postawa może zadziwić pana Hardy'ego. Wziął więc pustą szklankę i poszedł ją zaraz umyć, a potem postawił na swojem miejscu.

Czynił to wszystko zupełnie machinalnie; stary służący nie przypuszczał nawet, iż mógłby się tutaj czego obawiać. Tyle ludzi umiera codziennie i nikt się tem nie przejmuje. Dlaczego miałoby być inaczej z panem Hardym? Nie przyszło mu nawet na myśl, iż może się do tego wmieszać policya i powziąć podejrzenia względem tej nagłej śmierci.

Nie czytywał wcale sprawozdań ze spraw kryminalnych. Prawdę mówiąc, czytał wogóle mało, nawet dzienniki rzadko przeglądał. O następstwach swego czynu nie myślał wcale, pragnął tylko jak najrychlejszej śmierci pana Hardy'ego, a wiedział, że najłatwiej i najprędzej może do tego dojść przez podanie mu trucizny. Obecnie niepokoiło go tylko, iż nie słyszy żadnego szmeru w gabinecie. Zaczął się lękać i by upewnić się ostatecznie, jaki skutek pociągnęła za sobą orszada z trucizną, postanowił podsłuchać pod drzwiami. Podszedł też ku nim i gdy dobiegł go dobywający się z wewnątrz jęk, zajrzał do środka i ujrzał, jak jego pan opada bezwładnie na fotel, stojący przed biurkiem. Pan Hardy miał jeszcze tyle siły, iż przy wejściu jego podniósł do góry głowę; w oczach jego zamalował się jednocześnie jakiś przelotny błysk, jakby zdziwienie i w tej chwili, pchnięty jakąś tajemną myślą, nachylił się nad maszyną do pisania. Niestety, siły odmówiły mu już posłuszeństwa: zachwiał się i z rękami podłożonemi pod głowę osunął się bez czucia na biurko.

Mateusz dosyć już miał tego widoku, nie chciał być świadkiem jego agonii, zeszedł też pospiesznie do kuchni właśnie w chwili, gdy uśmiechnięta Klara zerwała się z rąk niańki i pobiegła do dziadka; służba w kuchni zajęta pieszczeniem dziecka, które wszyscy lubili, nie zwróciła uwagi na niezwykłe podniecenie Mateusza, na bezustanne jego wchodzenie i wychodzenie. Pohamował się on wkrótce, a w kika chwil potem wszyscy doznali wielkiego wzruszenia na wieść o nagłej śmierci swego pana.

Wrażenie było wielkie. W pałacu ukazali się zaraz jacyś obcy ludzie, a w ślad za nimi jawiła się policya. Wtedy dopiero Mateusz, jedyny może spokojny człowiek podczas ogólnej paniki, zobaczył, iż sprawa może przyjąć dla niego gorszy obrót, niż się tego spodziewał. Pojął odrazu, iż za wszelką cenę musi się pozbyć tej kompromitującej flaszeczki przed rozpoczęciem osobistej rewizyi. Gdy na chwilę został sam w sali jadalnej, wyjął ją roztropnie z kieszeni kamizelki i schował do zegara. Ponieważ jednak zegar ciężko się otwierał i trzeba było do tego pewnego wysiłku, ręka jego zadrżała ze zmęczenia i wtedy strącił mimowoli na podłogę kieliszek stojący na kominku.

Odgłos tłuczonego szkła zwrócił uwagę wszystkich obecnych. Pozbierano skrzętnie resztki i szczegółowo je obejrzano, nikt jednak nie mógł w nich dostrzedz nic podejrzanego, gdyż w kieliszku tym była tylko czysta malaga.

— Gorzej się stało ze skówką biednego Alfreda, na którą w kieszeni Mateusza spłynęła z flaszeczki kropla trucizny. Zapach charakterystyczny, jaki się z niej wskutek tego później dobywał, drogo kosztował niewinnego jej właściciela. Na szczęście sprawa z Alfredem pomyślnie się zakończyła i wszystko zapowiadało się jak najlepiej, gdy nagle ten dyabelski agent skoczył mu do gardła i oskarżył go, nie mówiąc nawet, w jaki sposób odgadł, że on jest mordercą swego pana.

— To była dla mnie niespodzianka! To była niespodzianka! — powtarzał lamentując. Gdybym miał choć chwilę czasu do namysłu, przekonałbym się, że on nie ma żadnego dowodu przeciw mnie, a tylko niejasne przypuszczenia, których niepotrzebnie przestraszyłem się. Człowiek nigdy nie potrafi utrzymać w porę języka za zębami. Zdradziłem się i za to muszę teraz płacić.

XI.

Pozostaje mi jeszcze do opisania ostatnia scena, którą chcę zakończyć opowiadanie o najbardziej wzruszającym epizodzie mego życia. Była to dla mnie scena na zawsze pamiętna. Odbyła się ona w salonie małej willi w Asnieres w dniu, w którym odprowadziliśmy zwłoki biednej Anity na wieczny spoczynek na Pere Lachaise. Po ukończeniu żałobnej ceremonii znajomi, obecni na pogrzebie, odjechali do domów i tylko członkowie rodziny przybyli, by zamknąć willę, która od tego czasu stała się zescze cenniejszą dla Lionela. Jerzy i Alfred uważając zapewne, iż chwila obecna nie jest odpowiednia do wszczynania na nowo swych sporów, wyszli razem na podjazd, by zawołać karetę, którą miała wracać Genowefa.

Z okna salonu, w którym się znajdowałem, śledziłem oczyma zachowanie się obu braci i śmiałem się z nieufności, jaką sobie obopólnie okazywali. Jasnem było, że w dalszym ciągu jeden w drugim dopatruje się szczęśliwego rywala. Żaden z nich nie podejrzewał wcale tajemnicy, która zamykała im obu dostęp do serca Genowefy.

Wiedząc o tej ich przeszkodzie do zdobycia wzajemności pięknej kuzynki i osobiście odgrywając pewną rolę w tym dramacie, nie długo zajmowałem się przyglądaniem im. W chwili tej więcej mnie interesował Lionel. Oparty o kominek może po raz ostatni błądził oczyma po salonie, którego zbytkowność ani też jego własna miłość nie zdołały zatrzymać tu tej, której już nie było. Oczekiwał na Genowefę, która większą część dnia spędziła z Klarą na kolanach. Myśl o niej tak mnie niepokoiła, iż z trudem tylko mogłem opanować siebie...

Nagle dobiegł nas ze schodów głos Genowefy, rozmawiającej z Klarą. Odwróciłem głowę, nie dlatego, bym miał się czegoś obawiać z racyi tego spotkania, lecz zdawało mi się, iż nie będę mógł patrzeć obojętnie, jak się choć trochę ożywi twarz Lionela na widok tej, której obecność przyprawia mnie o bicie serca. Brakło mi jednak na to odwagi. Znowu zwróciłem się ku niemu. Lepsze wszystko, niż niepewność, która mnie pożerała.

W istocie patrzyłem tylko na Genowefę. Stała na progu drzwi z wielkim zwojem białych róż w ręku.

— Dla kogo te kwiaty? — zapytał Lionel drżącym ze wzruszenia głosem.

— Dla niej — odpowiedziała czule Genowefa — dla mej kuzynki Anity. Mimo mych nalegań przyniesiono mi je dopiero teraz. Ty jednak będziesz nad niemi czuwał, prawda Lionelu? Bardzo przykrą byłaby mi myśl, że ona ma tylko od ciebie kwiaty, jak gdyby nie miała...

Nie dał jej dokończyć. Wzruszony aż do głębi duszy, nachylił jej głowę ku sobie i pocałował ją w czoło. Potem wziął kwiaty i wyszedł z salonu. Blada i drżąca Genowefa podeszła do mnie. Chwiałem się na nogach, nie będąc w stanie opanować doznawanych wrażeń.

— Bądź cierpliwy, drogi przyjacielu — rzekła omdlewającym głosem. Przekonałam się dzisiaj, że nigdy mnie nie kochał, że nigdy kochać nie będzie. Gdyby było inaczej, nie mógłby mnie tak pocałować, jak to uczynił przed chwilą.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Nie z Jerzym, ani z Alfredem, ani nawet z Lionelem wyszła Genowefa pod rękę z małej willi, lecz razem z tym, z kim miała następnie złączyć swe życie na zawsze.

. . . .

Róże Genowefy dawno już zwiędły na grobie Anity, gdy pewnego dnia Lionel, trzymając rękę na główce Klary, rzekł do mnie:

— Nie ożenię się nigdy. Oddam się cały wychowaniu tego małego dziecka, które jest moją radością i jedynem mem pocieszeniem. Wczoraj całą godzinę spędziła u mnie na kolanach, z rączkami koło mej szyi, z twarzyczką opartą o moją twarz. Opowiadałem jej o matce, którą tak mało znała. Mówiłem jej, że gdyby tak mogła nas widzieć...

Nie skończył zdania, lecz uśmiechnął się z taką jakąś cichą i zrezygnowaną radością, jak człowiek, któremu po wielu mękach odkrywa się nowa droga do szczęścia.

KONIEC.

Pomnik Jagiełły w Krakowie.

(Do illustracyi na str. 3 i 4).

W pięćsetną rocznicę zwycięstwa pod Grunwaldem ma stanąć w starym Krakowie pomnik króla Władysława Jagiełły, pogromcy Krzyżaków. Fundatorem pomnika jest Ignacy Paderewski, nie tylko wielki artysta ale i gorący patryota. W cichości serca, nie zwierzając się nikomu, powziął twórca „Manru" zamiar uświetnienia rocznicy grunwaldzkiej w sposób godny tej historycznej i podniosłej chwili. Myśl nasza z szarzyzny i upadku codziennego wzniesie się ku opromienionemu sławą obliczu wielkiego króla, a ilekroć zwątpienie będzie chciało zamrozić i uśpić serce, tylekroć ten monument chwały narodowej rozgrzeje pierś, wzmocni ducha i nie pozwoli na rozpacz. I dlatego na wieść, która lotem błyskawicy obiegła wszystkie ziemie polskie i słowiańskie, że w Krakowie staje pomnik pogromcy Krzyżaków, zabiły żywiej wszystkie serca, a słuch natężony czekał na dalsze informacye o pomniku, jego wyglądzie, o jego twórcy i jego fundatorze.

Zaczynając od myśli, która wielkiemu artyście i muzykowi kazała w rocznicę Grunwaldu złożyć wspaniały i królewski dar w formie pomnika dla króla-zwycięzcy, stwierdzić należy, że Paderewski już od paru lat nosił się z myślą uświetnienia tej wielkiej rocznicy narodowej. Z różnych projektów, jakie mu się nasuwały, wybrał ufundowanie pomnika.

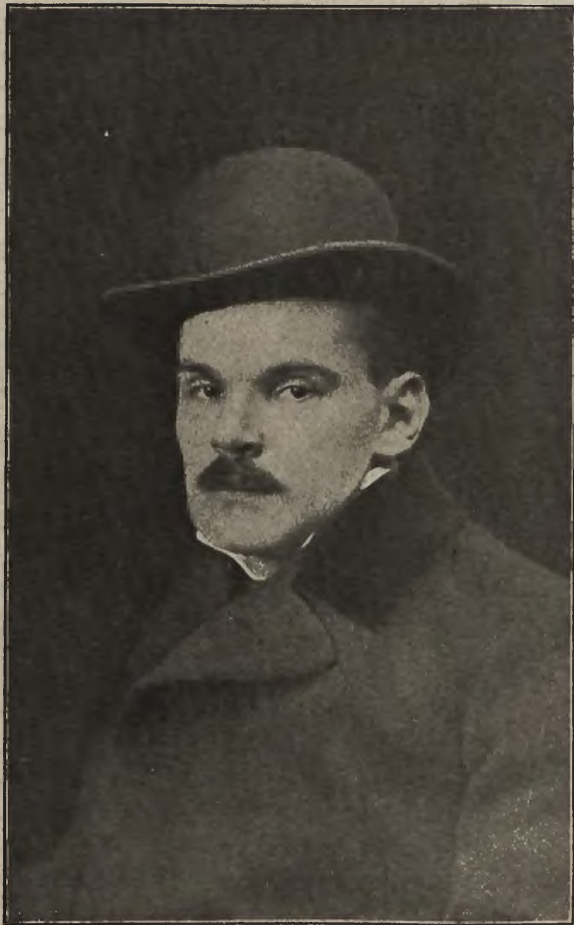
Przed dwoma laty, bawiąc w Paryżu, poznaje Ignacy Paderewski młodego i utalentowanego artystę-rzeźbiarza Antoniego Wiwulskiego, który w owym czasie właśnie był złożony ciężką chorobą. Zainteresowawszy się losem polskiego artysty, zaprasza go do rezydencyi swojej w Morges na rekonwalescencyę. Tu mało znany jeszcze artysta zwierza się Paderewskiemu, że marzy o zakuciu w spiż idei tryumfu i zwycięstwa grunwaldzkiego. Paderewski postanowił zamiar swój wcielić obecnie w czyn i Wiwulskiemu poleca rozpoczęcie prac nad wystawieniem pomnika.

Przez półtora roku pracuje Wiwulski, zamknięty w swej pracowni na odludnem przedmieściu Paryża nad szczegółami powierzonego mu dzieła. Dłuto artysty zakuwa w spiż jego natchnienia, a świat cały dowiaduje się o fundacyi i dziele samem dopiero dziś, gdy większa część pracy jest już na ukończeniu. Tajemnicy strzeże trzech ludzi, poinformowanych o wszystkiem, tj. artysta, fundator i jego pełnomocnik p. Tadeusz Jentys z Warszawy.

I dopiero dziś, gdy nadeszła chwila wyboru placu pod pomnik, dowiaduje się cała Polska, cały świat o porywie patryotycznym wielkiego muzyka. Do Krakowa zjechał p. Jentys, by powiadomić prezydyum m. Krakowa o darze grunwaldzkim Paderewskiego i przedstawić fotografię pomnika.

Wybór placu odpowiedniego pod pomnik jest jedną z najważniejszych kwestyi. Chodzi mianowicie o tło i otoczenie oraz odpowiednią do wielkości pomnika przestrzeń. O Rynku sam Paderewski podobno nie myślał. W sprawie wyboru placu wysłał Paderewski p. Tad. Jentysa, który miał się porozumieć z prezydyum. W grę wchodzą obecnie dwa place: Bernardyński i plac Matejki, które tak wielkością jak i tłem najlepiej odpowiadają życzeniom tak fundatora jak i rzeźbiarza.

Podajemy reprodukcye tych placów, by Czytelnicy mogli sobie wyobrazić tło, na którem ewentualnie stanąłby pomnik zwycięzcy z pod Grunwaldu.



Nowy zastępca delegata w Krakowie: Sekretarz dr. Władysław Wróblewski.

Kronika tygodniowa.

(Święta Bożego Narodzenia. — Kaprysy aury. — Kłopoty ojców rodziny. — Ich praca umysłowa i fizyczna. — Trzeba być gościnnym. — Co od rodziny otrzymałem, a co jej ofiaruję. — Prezent gwiazdkowy Paderewskiego dla Krakowa. — Kłopoty estetyków z tego powodu. — Gdzie stanie pomnik? — Nowy projekt. — Przesadne obawy. — Klapa austryackiej dyplomacyi. — Obstrukcya złamana. — Życzenia).

Z takiem utęsknieniem oczekiwane święta Bożego Narodzenia nadeszły nareszcie. Brak wprawdzie zwykłej dekoracyi śnieżnej, brak sanny i ślizgawki, które corocznie o tym czasie rozweselały młodych i starych, radość mimo to nie mniejsza, jak i każdego innego roku. Krakowski rynek zazielenił się od choinek, na które z taką radością i nadzieją spogląda młode pokolenie, a umiarkowana temperatura z ciepłym deszczem i tęcza, którą oglądaliśmy na niebie w dniu 20 grudnia, każą nam przypuszczać, że to nie zima, lecz wiosna. Tłómaczymy to sobie pomyłką referenta niebieskiego od pogody, który widocznie niedawno objął posadę, nie mógł się wyznać na kalendarzu i zamiast na śnieg, nastawił automat na deszcz, ciepło i tęczę. Inni twierdzą, że biegun północny obraził się na Cooka i Peary'ego, którzy wydarli mu jego tajemnicę i nie będzie nas już darzył mrozem, inni wreszcie utrzymują, że Opatrzność, litując się naszej biedy, boć 18 maja podobno ma być koniec świata, postanowiła osłodzić nam ostatnie chwile i przyspieszyła wiosnę... Kto ma racyę, nie wiem, to jednak pewne - bo czujemy to na naszych kieszeniach — że Święta już za pasem!

Biedni ojcowie rodziny, których niebiosa obdarzyły czcigodną żoną i liczniejszą progeniturą, już od dwu prawie tygodni pracowali umysłowo, wysilając swą fantazyę, skąd wziąć pieniędzy na sprawienie świąt, czasy bowiem coraz cięższe, a kredyt, z powodu spodziewanego końca świata, utrudniony. Hołdując starej zasadzie: zastaw się, a postaw się! — nie potrafilibyśmy przenieść tego po sobie, by nie urządzić uroczystego przyjęcia dla krewnych, przyjaciół i zwolenników, choćby nawet za pożyczane pieniądze. Obecne Święta przypadają dla zarządu domowego nad wyraz fatalnie: z końcem miesiąca i roku kredyty domowe są już zazwyczaj wyczerpane, i oszczędności, jakie skrzętna gospodyni poczyniła, rozeszły się już na węgle, nowe kostyumy zimowe, łyżwy i bilet familijny na ślizgawkę. Oświadczenie żony: „Mężu, ja potrzebuję pieniędzy!“ jest rozkazem i chciałbym widzieć śmiałka, który potrafiłby się sprzeciwić! Nieustające więc konferencye z dostawcami monety, zakończone zazwyczaj świetnem zwycięstwem, t. j. uzyskaniem pożyczki na wysoki procent, z obowiązkiem zwrócenia jej jeszcze przed końcem świata. Biada nieszczęśliwemu, którego kredyt wyczerpany, a akcye jego źle notowane na czarnej giełdzie! Nie pozostaje nic innego, jak zanieść swój i żony zegarek i co jeszcze w domu z precyozów pozostało, na ulicę Szpitalną, bo cóżby świat powiedział, gdyby na świątecznym stole nie królowało choćby kilka bałabuchów i flaszek cienkusza, szumnie... wytrawnym „zieleniaczkiem“ nazwanego.

W ostatnim tygodniu po pracy umysłowej nastaje okres pracy fizycznej, a tak zwany *pan domu* otrzymuje od swej połowicy pozwolenie, by postarał się o dwudniowy bodaj urlop, gdyż jest w domu potrzebny. Rozpoczyna się więc trzepanie dywanów i mebli, które staje się udziałem biednego męża, służąca bowiem zajęta jest ciągłem kursowaniem między kuchnią a sklepikiem, gdzie *na książeczkę* zakupuje się rozmaite wiktuały, Meble musi się inaczej ustawić, by w zmienionem oświetleniu wydawały się nowymi, nieraz pomódz trzeba nawet przy froterowaniu posadzki. Trudno się sprzeciwić wyrokowi Opatrzności, wygłoszonemu przez usta czcigodnej połowicy, która na wszelkie przedstawienia ma tylko jeden argument:

— Mój kochany, we święta jadłbyś chętnie, ale pomódz bodaj troszkę, to ci się nie chce! Zresztą ruch jest dla ciebie zbawienny...

Najgorszą z mąk Tantalowych, czekających męża, to zawieszanie firanek, potem następują jeszcze prace Syzyfowe: tłuczenie migdałów, obieranie rodzynków i inne przyjemności, kończące się w samą wigilię po południu... Nic też dziwnego, że w czasie uczty familijnej, łamiąc się ze żoną opłatkiem, życzysz jej, by z piekła nie wylazła, a po wigilii czujesz w sobie taki nadmiar pobożności, że oświadczasz, iż pójdziesz na pasterkę, a tymczasem prosto ciągniesz do takiego przybytku, gdzie kieliszkami dzwonią, by w gronie podobnie usposobionych przyjaciół, bodaj chwil parę odetchnąć swobodnie po kilkodniowem utrapieniu.

Przez oba dni świąteczne przesuwa się przed twemi oczyma cały szereg typów, które życząc ci głośno pomyślności, w duchu utopiłyby cię w łyżce wody. Odpłacasz im pięknem za nadobne, zapraszając uprzejmie, by rozgościli się, jak we własnym domu, gdy zaś spostrzeżesz, że mają i apetyt i pragnienie (podobno cieszy to gospodynię domu), spoglądasz złośliwie to na gości, to na żonę, jakbyś chciał powiedzieć: A to ci szelmy nienażarte! Pewnie trenowali się przynajmniej przez tydzień!.... Żona zaś załamuje pod stołem ręce, widząc znikające zapasy i myśli tylko: Mój Boże! Ciekawam, co ja jutro dam gościom!

Nie można jednak okazać niezadowolenia, zwłaszcza, jeśli się ma córki na wydaniu, zresztą mogliby cię ludzie obgadać, że jesteś niegościnny, a to zaszkodziłoby nawet i w awansie! Gdy święta miną, oddychasz dopiero spokojnie i liczysz, ile dni pozostaje jeszcze do Nowego Roku. I słusznie powiedział mędrzec Pański, że wszelka radość jest znikoma! Zniknęły strucle, babki, torty, wino i koniaki, a córki, jak były, tak zostały staremi pannami. Narada familijna, odbyta nazajutrz po świętach, uchwala, że to są ostatnie święta, jakie się urządzało, na przyszły rok zamknie się cała rodzina w domu, a ogłosi światu, że wyjechała na Podole do krewnych... Tak dzieje się co roku. Inaczej się postanawia, inaczej zaś robi, człek radby przecież przychylić córkom nieba, czyli pozbyć się ich z domu!

Gdyby choć za to otrzymać jaki piękny podarunek gwiazdkowy! Ale gdzież tam! Ubiegła gwiazdka była dla mnie wcale niepomyślna, od żony otrzymałem szelki, od córek parę pantofli, które poczciwe dziewczęta obiecały wyhaftować w wolnej chwili. Żona natomiast kupiła sobie nowy miednicowaty kapelusz, córkom zaś futrzane żakiety. I to wszystko za moje, krwawo z pod serca Izraelowi wydarte korony! Tego roku jednak postanowiłem się zemścić na mojej rodzinie i od miesiąca obiecuję jej, że otrzyma na drzewko śliczny podarunek, mający wielką wartość praktyczną, a przeznaczony jako prezent ślubny dla tej z mych córek, która w przyszłym roku potrafi znaleść dozgonnego towarzysza. Zaciekawienie w domu ogólne, córki i żona starają mi się na każdym kroku przypodobać, a już w miarę zbliżania się gwiazdki czułości te rosną w postępie geometrycznym. Wyobrażam sobie jednak, co to będzie za rozczarowanie, gdy się dowiedzą, że owym, tak głośno przezemnie reklamowanym podarkiem jest srebrne sitko do herbaty na trzydzieści sześć osób! Za moje przedświąteczne utrapienia, niech mam bodaj tę frajdę!

Co innego zupełnie Kraków, o którym można powiedzieć, że się w czepku urodził. Nie dość, że rozszerzono go już na papierze, wyasfaltowano, pozbawiono starych ruder (baszta Kościuszki), znalazł się pan Styka, który chciał mu (n. b. za jego pieniądze) ofiarować panoramę. Jeszcze nie przebrzmiało w Rondlu echo owej panoramy, gdy oto zjawił się nowy dobroczyńca, który wiedząc, że Kraków chętnie uchwala pomniki, ale ich budować nie lubi, postanowił własnym kosztem wystawić pomnik Władysława Jagiełły, aby w ten sposób dać pstryczka Radzie miejskiej i uświetnić rocznicę Grunwaldu. Jest nim wielki wirtuoz, Ignacy Paderewski. Nie poszedł on śladem naszych krajowych znakomitości, które dużo obiecują, a mało, albo nic nie robią, ale zamówił pomnik i dopiero, gdy już prawie go kończą, oświadczył, że pragnie go ofiarować miastu. Wdzięczność społeczeństwa stała się udziałem wielkiego mistrza, który pokazał, że jest i wielkim patryotą i filantropem. To rzeczywiście piękny prezent gwiazdkowy, na jaki sobie Kraków nawet nie zasłużył! Jak niegdyś Siemiradzki, ofiarowując miastu swe „*Pochodnie Nerona*“ był właściwym twórcą i inicyatorem Muzeum Narodowego, tak znów właśnie w roku, w którym obchodziliśmy jubileusz Muzeum, Paderewski, fundując pomnik Jagiełły, o którym powinno było pamiętać społeczeństwo, uczy nas, jak powinniśmy czcić naszych wielkich bohaterów i zawsze i wszędzie, nawet na obczyźnie, pamiętać o tej świętej nici, jaka powinna nas łączyć z naszą Ojczyzną.

Gdybyśmy mieli więcej podobnie usposobionych dobrodziejów, kto wie, czy z czasem nie ozdobiłyby Krakowa i inne pomniki, o których dużo się mówiło, nawet składki zbierało, a które dotąd nie wyszły ze sfery projektów. (Kazimierz Wielki, Bałucki, Słowacki, Kościuszko).

Natomiast nasi estetycy, archeologowie i konserwatorowie wszelkiego autoramentu mają gwiazdkowego zgryza, gdyż nie wiedzą, gdzie ów pomnik postawić. Przypomina się Odyssea, jaką odbywał pomnik Mickiewicza, który włóczono w modelu po różnych ulicach i placach, a potem zamknięto na długie lata w pace. Co do samego pomnika, wolni są od tego kłopotu, natomiast zachodzą w głowę, gdzie go postawić, najlepsze bowiem miejsca rezerwują na pomniki dla siebie, jakie im wdzięczna potomność z pewnością postawi. W grę wchodzą w pierwszym rzędzie plac Matejki i Bernardyński, mówiono także o placu św. Ducha i o wylocie plantacyi u zbiegu ulicy Długiej, Sławkowskiej i Basztowej, nieopodal miejsca, gdzie się wznosi pomnik Jagiełły i Jadwigi. Ostatni projekt upaść musi bez dyskusyi, gdyż musianoby okroić część plantacyi, a na to miasto absolutnie zgodzić się nie może i nie powinno. Jest natomiast jeszcze jedno miejsce, o którem dotąd nie wspomniano, a które mojem przynajmniej zdaniem, byłoby bardzo odpowiednie. Istnieje w Krakowie tak zwany Rynek Kleparski, plac wcale obszerny, otoczony już z trzech stron pięknymi budynkami. Odpowiednio splantowany i zamieniony na skwer, mógłby on nadawać się na pomieszczenie pomnika Jagiełły, a wówczas zmieniłoby się także i jego nazwisko na Plac Jagiełły lub Plac Grunwaldzki. Z czasem możnaby zburzyć część domów od plantacyi, wobec czego z tej strony otworzyłby się widok na plac i pomnik.

Nie myślę wcale upierać się przy swym projekcie, gdyż nie jestem ani konserwatorem (choć lubię kompoty i konserwy), ani archeologiem (starych bab nienawidzę), ani nawet estetykiem (ożeniłem się z brzydką, gdyż miała pieniądze), w każdym razie sądzę, że podając jeszcze jedno miejsce, zyskam sobie wdzięczność owych panów, którzy o tydzień lub dwa będą mogli dłużej prowadzić uczone rozprawy. A ciekawie zaczynają się rzeczy składać, gdyż już podnoszą się głosy pełne obawy, aby przypadkiem Prusacy nie obrazili się na Kraków... Uważam tę troskliwość niektórych panów o naszą lojalność za bardzo uzasadnioną, gotów cesarz Wilhelm obrazić się na nas i w przyszłym roku nie odwiedzić Krakowa z okazyi jubileuszu Grunwaldzkiego. Możeby wobec tego zamknąć projektowany pomnik we wnętrzu barbakanu, a klucze zdeponować w kasie miejskiej, aby tam ani oko nie zajrzało, ani noga ludzka nie postała. W ten sposób załatwi się także kwestyę panoramową, jeśli będzie bowiem w Rondlu pomnik, nie zmieści się panorama.

I jeszcze o dwu dość niemiłych podarkach gwiazdkowych wspomnieć mi wypada. Jednym z nich, dotyczącym naszych sfer rządowych, to niespodziewany zwrot w procesie koalicyi serbsko-chorwackiej przeciw Dr. Friedjungowi. Pokazało się, że owe dokumenty, które miały zmiażdżyć Supila, są fałszywe, a co najważniejsza, że austryackie ministerstwo spraw zagranicznych aprobowało je jako autentyczne i na ich podstawie prowadziło politykę względem Serbów. Klapa więc na całej linii. Obecnie szuka się drogi wyjścia, ale trudno ją znaleźć.

Gorzki migdał dostał się także na gwiazdkę Niemcom pod postacią zmiany regulaminu obrad parlamentu. Nareszcie zdecydowano się przeciąć bolączkę, która trapiła Austryę, uniemożliwiono bowiem obstrukcyę, przy tej jednak sposobności przekonano się, że Austrya nie jest wcale państwem niemieckiem, gdyż wszelkie usiłowania Wszechniemców, aby ratować swój honor, spełzły na niczem, choć przecież Rusini szli z nimi ręka w rękę. Parlament uruchomiono, to jeden podarek gwiazdkowy, który Austryi może się na coś przydać.

I ja nie chcę pozostać w tyle, a nie mogąc z powodów natury finansowej przesłać Szanownym Czytelnikom podarków, ograniczam się jedynie na życzeniach wszelakich wesołości z okazyi Świąt. Radzę przy tem, aby P. T. Publiczność pamiętała w tym okresie o swem cennem zdrowiu, które łatwo bardzo może być narażone na szwank, abyśmy za tydzień, w pełni sił i czerstwości, mogli sobie znowu złożyć życzenia noworoczne! *X.*

Pokonanie obstrukcyi.

(Do illustracyi na str. 18).

Walka Unii słowiańskiej z centralistycznymi, niemieckimi żywiołami w parlamencie, doprowadziła w ubiegłym tygodniu do wybuchu obstrukcyi. Podjęli ją agraryusze czescy, aby uniemożliwić uchwalenie traktatów handlowych.

Zgłosili tedy szereg wniosków nagłych, a celem ich uzasadnienia wygłaszali tasiemcowe mowy. Rekord w tym kierunku zdobył jeden z najmłodszych posłów agrarnych, Wacław Kotlarz, weterynarz z zawodu, który przemawiał na pamiętnem, trzydniowem posiedzeniu Izby posłów trzynaście godzin.



Zmiany w dyrekcyi kolejowej w Krakowie: Zygmunt Sas Jasiński, nowy wicedyrektor kolei państw.

Skandale warszawskie.

Głośna sprawa nadużyć w magistracie warszawskim znajdzie się niebawem w senacie petersbuskim, celem ostatecznego rozstrzygnięcia. Chodzi — jak wiadomo — o szereg nadużyć i przekupstw, pod zarzutem których stoją: były prezydent Warszawy Litwinskij, były naczelnik kancelaryi magistratu Śląski, radca Zieńkowski i sławny ogrodnik Szanior.

Wszyscy oskarżeni, prócz Litwińskiego, zajmują dotychczas swe urzędowe stanowiska.

Zmiany w dyrekcyi kolejowej w Krakowie.

Opróżnione skutkiem powołania p. Zborowskiego-Kostrakiewicza na stanowisko dyrektora kolei w Krakowie, stanowisko zastępcy dyrektora w sprawach technicznych, zajmie w najbliższych dniach p. Zygmunt Sas Jasiński, starszy inżynier kolei i ostatnio szef oddziału budowy i konserwacyi w dyrekcyi kolei we Lwowie.

Nominacyę inż. Jasińskiego na wysokie stanowisko w Krakowie, powitano w sferach kolejowych z ogólnem zadowoleniem. Nowy zastępca dyrektora należy bowiem do tych niewielu ludzi, którzy nie mają wrogów osobistych, a bardzo wielu przyjaciół i życzliwych. Niepospolita inteligencya, głęboka wiedza fachowa, ogromna uprzejmość i uczynność, a przytem takt w postępowaniu z ludźmi, oto krótka charakterystyka nowego wicedyrektora kolei w Krakowie.

P. Jasiński jest synem ś. p. prezydenta miasta Lwowa. Po ukończeniu studyów technicznych z dyplomem inżyniera budowy, wstąpił do służby przy kolei, gdzie wnet odznaczył się swemi wybitnemi zdolnościami. Wszędzie też, gdzie przebywał w charakterze urzędowym, cieszył się ogólną sympatyą i życzliwością. Tak było w Stanisławowie, tak było we Lwowie — i tak będzie niewątpliwie w Krakowie.

Lwów żegna p. Jasińskiego z szczerym żalem, gdyż w ciągu wieloletniego tam pobytu brał żywy bardzo udział w życiu publicznem i towarzyskiem miasta, zaznaczając nadzwyczajnie dodatnio swą działalność na wielu polach. Dowodem, jak ceniono wybitne zdolności inż. Jasińskiego w dziedzinie techniki, jest powołanie go przed laty na stanowisko prezydenta galicyjskiej izby inżynierskiej. Na stanowisku tem, piastowanem do ostatnich chwil, położył p. Jasiński bardzo wielkie zasługi.

Nowy zastępca dyrektora kolei w Krakowie obejmie urzędowanie już w pierwszych dniach stycznia 1910 roku.



Skandale warszawskie: Naczelnik Wydziału radca Zieńkowski.

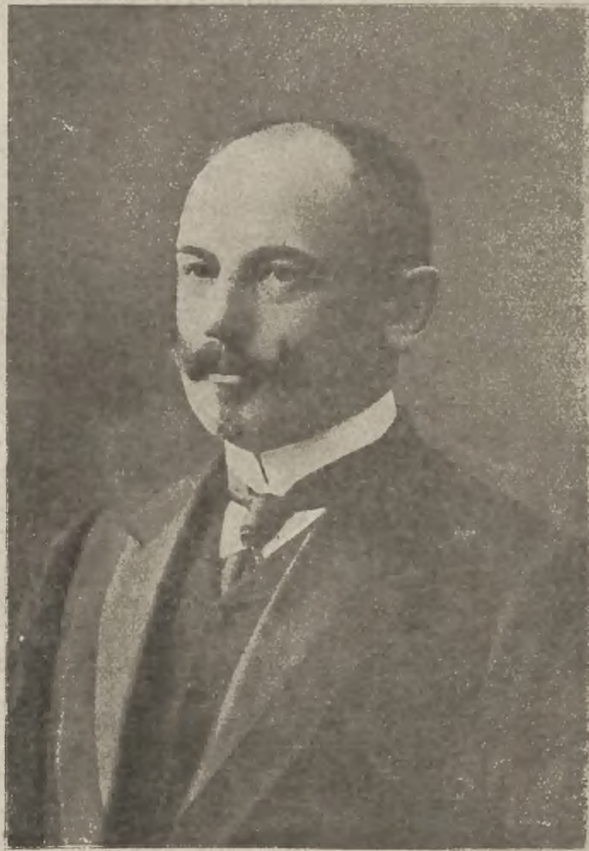


Skandale warszawskie: Naczelnik kancelaryi magistratu miasta Warszawy Władysław Śląski.

Otwarcie Barbakanu.

(Do illustracyi na str. 4).

Konserwatorzy krakowscy, będący przeciwnikami oddania barbakanu na panoramę p. Styki, poczynili starania w prezydyum miasta Krakowa, aby barbakan otworzyć i umożliwić publiczności samej wydanie sądu o zamierzonem wstawieniu panoramy do jego wnętrza.



Skandale warszawskie: Były prezydent miasta Warszawy Litwinskij.

W niedzielę d. 19 b. m. o godz. 10 przed południem otwarte zostały na roścież bramy tej starożytnej warowni krakowskiej. Tłumy publiczności spieszyły w stronę bramy Floryańskiej, by oglądnąć ten zabytek sztuki obronnej w dawnej Polsce, zabytek jedyny, z którego dumnem by było bez wątpienia każde miasto. Prawie ze wszystkich dawnych zamków polskich zostały dziś jeno gruzy, to też barbakan krakowski jest jedynym zabytkiem, dającym nam wyobrażenie, jak wyglądało wnętrze warowni polskich.

Wobec tego, że w najbliższych dniach rada miejska ma zadecydować o przyjęciu względnie odrzuceniu propozycyi p. Styki, publiczność krakowska ma obecnie sposobność zapoznać się z wewnętrznym wyglądem barbakanu.

Wśród mieszkańców miasta Krakowa coraz widoczniejszym jest rozdział na dwa obozy, z których jeden stoi po stronie pana Styki, a drugi zwalcza oddanie barbakanu na panoramę. O ile początkowo nielicznymi były głosy za oddaniem barbakanu na panoramę, o tyle obecnie tak pewna część prasy krakowskiej, jak i obywatelstwa krakowskiego dość agresywnie występuje za użyczeniem barbakanu panu Styce.



Skandale warszawskie: Starszy ogrodnik miasta Warszawy Szanior.

Wielka Szarada do nagrody!

25 nagród wartości 5 tysięcy koron! 25 nagród wartości 5 tysięcy koron!

Szanownym Czytelnikom **„Nowości illustrowanych"** dajemy do dyspozycyi 8 liter, zapomocą których można utworzyć 75 rozmaitychwyrazów. Jeżeli litery owe oznaczymy liczbami 1 do 8 i liczby te, jak poniżej zestawiać będziemy, to otrzymamy rozmaite wyrazy, których znaczenie podajemy:

1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8

Czytane w tym porządku dają one nazwisko jednego z najsławniejszych Polaków, czcią przez naród otaczanych.

1) 7 5 4 5 2 część całości.
2) 1 8 7 5 4 7 5 przyrząd gaszący.
3) 4 3 2 3 4 1 7 8 powieściopisarz.
4) 1 3 1 przyprawa
5) 8 7 5 7 5 owoc.
6) 1 7 5 4 5 rzeka.
7) 4 2 3 1 pokrycie skóry.
8) 1 5 7 4 5 torba.
9) 7 3 6 5 4 5 rzeka na Śląsku.
10) 1 2 3 4 5 7 narodowość.
11) 6 5 1 1 8 5 roślina.
12) 1 3 2 3 4 7 8 wyspa na morzu Białem
13) 1 3 7 3 2 3 4 1 7 8 historyk polski.
14) 2 5 1 7 3 herb.
15) 7 5 6 sławny rabin XVII. w.
16) 1 5 8 7 8 3 miasto w Japonii.
17) 7 5 8 7 statek turecki.
18) 2 5 1 8 6 5 zwierze drapieżne.
19) 7 5 2 5 narzeczona.
20) 6 8 1 drzewo.
21) 4 8 3 1 2 3 przyrząd wioślarski.
22) 1 7 3 7 ruch.
23) 8 4 3 imię.
24) 1 5 1 herb.
25) 6 3 3 7 sławny podróżnik.
26) 3 1 5 owad.
27) 1 2 3 4 3 dziennik.
28) 6 8 3 1 uderzenie.
29) 7 3 2 3 linia krzywa.
30) 2 5 4 7 5 sprzęt.
31) 7 3 1 5 narzędzie rolnicze.
32) 4 5 2 nasyp ochronny.
33) 7 3 7 1 przetwór węgla.
34) 1 5 4 5 rzeka.
35) 7 3 1 1 5 7 3 4 1 7 8 hetman z dramatu.
36) 1 5 7 przyrząd rybacki.
37) 3 8 7 1 fałszywy ruch.
38) 6 8 1 5 rzeka.
39) 7 5 1 7 nakrycie głowy.
40) 1 3 2 3 7 8 miasteczko w dawnem województwie wileńskiem.
41) 7 5 1 5 schowek
42) 1 7 8 przyrząd sportowy.
43) 1 3 4 5 ptak.
44) 1 3 2 5 rzeka.
45) 2 5 1 7 5 śpiewaczka operetkowa.
46) 3 1 8 3 2 zwierzę.
47) 7 5 2 7 5 rzeka w poł. Rosyi.
48) 8 7 4 5 dopływ Styru.
49) 7 5 4 5 1 służący konsularny.
50) 3 1 2 5 4 5 rzeka.
51) 8 2 pokład ziemi.
52) 1 7 5 2 7 5 wzgórze nad Wisłą.
53) 7 8 3 7 3 naród afrykański.
54) 1 2 3 4 8 7 ptaszek.
55) 7 5 4 5 roślina.
56) 1 2 5 4 5 tyle co chwała.
57) 7 2 3 1 część rośliny.
58) 6 2 3 opłata.
59) 3 7 3 część głowy.
60) 1 3 7 płyn.
61) 7 3 1 1 4 7 wybitny malarz polski.
62) 4 8 1 2 5 rzeka.
63) 8 4 5 rodzaj wierzby.
64) 7 4 5 1 związek chemiczny.
65) 4 3 1 7 produkt ziemny.
66) 7 8 1 3 7 pawilon.
67) 3 4 3 6 ochrona nasion.
68) 7 3 6 przykrycie.
69) 7 5 1 8 5 zdrobniałe imię.
70) 7 3 1 ptak.
71) 1 8 2 5 określenie fizyczne.
72) 7 8 7 3 2 osada w gub. płockiej.
73) 7 2 5 7 rodzaj włosów.
74) 7 3 7 8 bakterye.
75) 7 3 7 3 1 owoc.

Czytelnicy ubiegający się o powyższe nagrody, muszą się zastosować do następujących warunków:

1) Rozwiązanie Szarady powinno być nadesłane w dostatecznie opłaconym liście, z napisem na kopercie u góry: **Rozwiązanie szarady konkursowej,** najpóźniej do 31 stycznia 1910 r. pod adresem: **Redakcya „Nowości illustrowanych" Kraków, Zacisze 7.** Listów nieopłaconych lub niedostatecznie—nieprzyjmujemy.

2) Rozwiązanie można posłać tylko na specyalnym kuponie, który należy wyciąć **z Nr. 52 lub Nr 1-go „Nowości illustrowanych" z daty 1 stycznia 1910** i wszystkie pięć rubryk starannie wypełnić. **Na osobnej kartce opatrzonej nazwiskiem rozwiązującego, należy dołączyć znaczenie podanych 75 wyrazów w oznaczonym cyframi porządku.**

Nazwiska Prenumeratorów, którzy w terminie wyżej podanym nadeślą trafne rozwiązanie, zostaną ogłoszone wraz z numerami porządkowymi w numerze 8-ym z dnia 19 lutego 1910. W dniu zaś **27 lutego, w niedzielę, w południe o 11 godzinie** odbędzie się w lokalu Redakcyi przy ul. Zacisze l. 7 losowanie nagród. Losowanie to będzie publiczne, w obecności Czytelników naszych, których na losowanie to zapraszamy, nadmieniając iż każdemu z Naszych Prenumeratorów przysługuje prawo wstępu, celem kontroli przy losowaniu.

Nadsyłający rozwiązanie z Galicyi **musi być prenumeratorem „Nowości illustrowanych"**

i prenumerować pismo nasze wprost w centralnej Administracyi Kraków, Zacisze 7.,

natomiast Prenumeratorów z Królestwa Polskiego warunek ten nie obowiązuje — zobowiązani jednak są do rozwiązania dołączyć kwit odnośnej księgarni lub biura, na dowód, że pismo nasze zaprenumerowali.

Jednemu i temu samemu prenumeratorowi nie przysługuje prawo przysłania kilku rozwiązań!

Za rozwiązanie powyższej Szarady przeznaczamy:

25 nagród łącznej wartości 5.000 koron!

1-sza nagroda Automobil na 2 osoby wartości 3000 koron.

2. Zegarek złoty o 2 kowertach	„ 250 K	10. Serwis na umywalnię	wart. 75 K	18. Lornetka teatralna	wart. 30 K
3. Rower z wolno bież. kołem	„ 230 „	11. Srebrna papierośnica	„ 70 „	19. Przybory do pisania na biurko	„ 30 „
4. Łańcuszek złoty do zeg.	„ 200 „	12. Lampa postumentowa	„ 60 „	20. Torebka skórzana damska	„ 25 „
5. Dubeltówka syst. Lankaster	„ 180 „	13. Serwis porcelan. do herbaty	„ 50 „	21. Portfel na banknoty	„ 25 „
6. Gramofon z 6 płytami	„ 160 „	14. Srebrny kosz na owoce	„ 50 „	22. Neceser z przyborami do szycia	„ 25 „
7. Pierścionek z szafirem	„ 150 „	15. Laska ze srebrną rączką	„ 45 „	23. Portmonetka ze skóry	„ 20 „
8. Garnitur do palenia	„ 125 „	16. Przybory do golenia	„ 40 „	24. Kaseta papieru listowego	„ 15 „
9. Neceser skórzany do podróży	„ 100 „	17. „ toaletowe damskie	„ 35 „	25. Ozdobna kasetka pomadek i cukrów	„ 10 „

Oprócz tych 25-ciu nagród, przeznaczamy jeszcze jedną **w kwo ie 100 koron gotówką** dla tego z naszych P. T. Prenumeratorów, który z powyższych 8 liter utworzy jak najwięcej wyrazów.

Nr. „NOWOŚCI ILLUSTROWANE".

Kupon do rozwiązania szarady.

Znaczenie cyfr 1 2 3 4 5 6 7 8

Imię i nazwisko rozwiązującego

Miejsce zamieszkania (dokładny adres):

Ostatnia poczta:

Prenumeratę zapłaciłem dnia:

Głosy publiczne.



Hasło ekonomicznego odrodzenia narodu przez przemysł, któryby stanowił nowy czynnik rozwoju i bodaj w przyszłości potężne źródło narodowego bogactwa i siły, nie przebrzmiało bez echa. Przemysł rodzimy, to już nie pięknie brzmiące wyrazy, to rzeczywistość, fakt i dzieło, jeśli nie dokonane, to przynajmniej chlubnie rozpoczęte. Jest to nasza jedyna i niezawodna broń, gdy chodzi o walkę z przemysłem i towarem obcym...

Ażeby walkę raz podjętą prowadzić nie tylko z niestygnącym zapałem ale i z niesłabnącą siłą, trzeba nam przedewszystkiem poznać samych siebie. W tym celu **Księga przemysłu polskiego** zamieści w zwięzłych monografiach obrazy i opisy polskich fabryk, zakładów przemysłowych, warstatów rękodzielniczych i przedsiębiorstw handlowych we wszystkich trzech dzielnicach, ich urządzenia techniczne i rozmiary produkcyi, jakość i rodzaje wytwarzanego towaru. Podzielona na zeszyty, stanowiące dla siebie całość, ozdobiona starannym doborem artystycznych fotogramów i pracami pierwszorzędnych naszych artystów-grafików, będzie **Księga przemysłu polskiego** nie suchym i niedostępnym dla ogółu szematyzmem, ale dziełem sztuki, która samą formą i statystycznem ujęciem przedmiotu przełamie może apatyę i nieufność, a zbudzi i ożywi zapał dla doniosłej sprawy. W każdym zeszycie znajdzie się nadto odrębny dział przemysłowego i kupieckiego inseratu, działającego nie nadmiarem tekstu, ale celową ozdobą i artystycznym układem.

Księga przemysłu polskiego ukazywać się będzie w zeszytach, stanowiących zamkniętą całość. Wydawnictwo obejmie trzy tomy. Do pojedynczych tomów dodany zostanie dla ułatwienia przeglądu indeks firm oraz artystyczna oprawa.

Bliższych wiadomości PP. Przemysłowcom i Stronom interesowanym udziela Redakcya i Administracya Księgi przemysłu polskiego, Kraków, ul. Karmelicka 7.



Cyrk Edison: Atrakcyą programu od soboty dnia 25. do czwartku dnia 30. b. m. będzie obraz Otello artystyczne zdjęcie, prześlicznie kolorowane grane przez pierwszorzędnych artystów paryskich, panią Victorię Lepanda jako Desdemona, pana Fenocio Gasavaglio jako Otello i pana Cesaro Doudini jako Jago podług dramatu Szekspira. —

Reszta programu składać się będzie przeważnie z obrazów z natury kolorowanych i zdjęć zabawnych. —



Rozwiązanie zagadek z Nr 50.

Szarada: Żarki.
Arytmograf: Waryant, Aryadna, Narcyza, Skandal.
Łamigłówka zgłoskowa: Szkoła ludowa.
Logogryf geograficzny: Podhale.
Łamigłówka literacka: Plutarch.
Zgłoskówka: Na złodzieju czapka gore.
Zadanie do przestawienia: Zły to ptak, co własne gniazdo kala.
Logogryf: Szarada.
Zagadka: Natan.
Szarada: Masło, słoma.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: K. Fuchs Czeremchów, O. Górkowa Chyrów, A. Zenowicz Lwów, W. Ossowski Warszawa, A. Biliński Tarnopol, B. Wilczyński Tarnów, M. Rabska Kraków, L. Gliński Kołomyja, S. Lutosławska Warszawa, G. Kotz Tarnopol, W. Stopczański Kraków, A. Bocheński Krosno, S. Krzyszkowski Głogów, W. Roliński Poznań, K Mayer Poznań, S. Wędrychowska Bochnia, M. Jagusiński Kraków, J. Bróż Kraków, B. Namysłowski Warszawa, M. Kalinowska Kalisz, R. Gwozdecki Lwów, K. Lipowski Kraków, M. Ligąza Sandomierz, W Ostrowski Rzeszów, G. Kwaśniewski Kołomyja, J. Bandrowski Radom, M. Świrski Kraków, K. Krosiński Kołomyja, J. Lewicki Warszawa, W. Thun Radomyśl, M. Krzyżanowski Przemyśl, K. Radoszewski Rzeszów, S. Lindenbaum Czerniowce, A. Balicki Kołomyja, W. Droźdź Tarnów, M. Aleksiewicz Lwów, M. Wojczvński Lwów, R. Brzezińska Kraków, P. Roth Kraków, M. Lasocka Rzeszów, W. Radwański Warszawa, G. Żelechowski Przemyśl, J. Nowacki Tarnopol, M. Górska Kraków, J. Salt Łódź, B. Latoszyński Kraków, K. Olpiński Lwów, W. Romanowski Warszawa, M. Arzt Petersburg. K. Gans Lwów, L. Lemański Kraków, F. Urban Kraków, M Świdzińska Łódź, B. Michalec Wiśnicz, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, W. Lasocki Rogóżno, K. Łopatyński Stanisławów, D. Engelberg Tarnów, S. Obmińska Warszawa, R. Kratochwil Kraków, K. Bernatowicz Rzeszów, M. Linderski Krosno, J. Kinalski Kołomyja, F. Schmidt Stanisławów, W. Rogalski Zaleszczyki. J. Wolski Kraków, S. Bielawski Kraków, S. Sokołowski Tarnopol, M Mochnacki Koło, L. Solecki Kraków, W. Brzozowski Lisko, B Grzesińska Kraków, A. Maciejowska Stanisławów, Z. Dębowski Łódź.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **S. Krzyszkowski Głogów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

B. WIERZEJSKI Kraków, Rynek, róg ul. Floryańskiej

poleca **tanio** w nadzwyczajnym wyborze: **Koszule** kolorowe i białe, **Rękawiczki** z gwarancyą trwałości, **Kapelusze** Przybory do podróży. Jako specyalność: **Krawaty** i **Perfumy**.

Nie sprzedaje nic pruskiego.

BAZAR KRAJOWY W KRAKOWIE
RYNEK L. 20.

Na prezenta **Majoliki, rzeźby, hafty**

Ks. W. Czartoryskiej
po niskich cenach.

Singera „66" najnowsza i najznakomitsza maszyna do szycia



Singera maszyna do szycia do nabycia tylko w naszych składach.

SINGER Co. Tow. Akc. MASZYN DO SZYCIA
Kraków, ul. Szpitalna L. 40.

Cukry i owoce oryentalne.
Pomadki tureckie, rahat, hałwę, konfitury, herbatniki etc. poleca

Roman Kubalski, Lwów
ul. Sykstuska l. 28 V.

Na prowincyę wysyłam asortymenta od K 6 począwszy za pobran. — Główny skład najsławniejszej herbaty ang. **King's Tea.** Wina francusk., rumuńskie i węgierskie.

NERWOWI
sercowo- i piersiowo chorzy jako i ci którzy cierpią na niedomagania żołądka, bezsenność, uczucie strachu, drgawki, zawroty i padaczkę powinni pić codziennie zamiast kawy lub herbaty tylko **ROSEN'A pożywna herbata wzmacniająca TEON.** Karton Kor. 1·10. 6 kartonów Kor. 6·—. Najmniejsza wysyłk 2 paczki za poprzedniem nadesłan. należytości lub za zaliczk.
Skład główny:
PHILIPP ROSEN
Apotheke in Sitzendorf 85 30.
bei Wien. Nieder-Österr.

Hygieniczny Dom towarowy
jedyne centralne miejsce sprzedaży
Wiedeń I, Rothenthurmstrasse 13 K.

✝ Specyalności gumowe ✝

pod gwarancyą najlepszy fabrykat. Za tuzin 2, 4, 6, 8, 10 do 12 kor. Próbki 6 szt. K 2·50, 12 szt. K 4·50, 25 szt. K 9. Także markami poczt. Porto osobno. **Specyalny oddział hygien. ochrony Pań.** Wysyłka dyskretna. Cenniki darmo i opłatnie.

Fraki, Anglezy, Smokingi
nowe i używane
wypożycza najtaniej
M. Marek
LWÓW,
ul. Sykstuska 29.

Tanio! Tanio!

Magazyn wysyłkowy
Braci Towarnickich
LWÓW,
Kopernika l. 17.

Wysyła **darmo** wszelkie wzory jak:
PŁÓCIEN, BIELIZNY stołowej, damskiej, męskiej.
Materye na kostyumy i t. p.
KOLOSALNY WYBÓR barchanów, pończoch, skarpetek, kołnierzy, mankietów a wszystko **tanio.**

NA SKŁADZIE:
szyfony, szyrtyngi.
MATERYE WEŁNIANE halki, fartuszki, suknie odpasowane (Roby), szale wełniane, chustki wełniane
KALOSZE, PARASOLE,
prześliczne Kilimy, Makaty.
Wszystko tanio, tanio, tanio
1% na Dar Grunwaldzki.
Z prowincyi proszę żądać wzory opłacone i darmo.

F. Missler Bremen



Przeprawa pasażerów
niemieckimi parostatkami
z Bremen do Ameryki.

Kto powziął zamiar jechać do Ameryki, temu poleca się jak najgoręcej, zaszczytnie znane **bremeńskie cesarskie parostatki i bremeńskie podwójnośrubowe pocztowe parostatki.**

Pospieszne parostatki jadą z Bremen do Ameryki 6 do 7 dni, zaś pocztowe 8 do 9 dni.

Kto życzy sobie jechać tymi wielkimi i pięknymi parostatkami, temu radzę zamówić sobie naprzód miejsce i w tym celu posłać do mnie **20 koron** zadatku.

Wyjaśnienia i pouczenia do podróży udzielam każdemu chętnie i bezpłatnie.

F. MISSLER.

Kto życzyłby sobie być pośrednikiem, niechaj się zgłosi.

Kto ma poczucie piękna i jest zwolennikiem dobrej muzyki, wybierze jedynie znakomity francuski

:PATHÉFON:

który tak muzykę, jak i głos ludzki oddaje nadzwyczaj wyraźnie i czysto, z naturalną siłą i barwą. Gra bez zmiany igły, szafirem, na płytach nieskończenie trwałych. Jedyny do tańca. **Nowe wspaniałe zdjęcia polskie.** Korzystna wymiana starych płyt. — Przeróbki gramofonów na system Pathé. — Naprawy we własnej pracowni.



Stefan Grudziński i Tadeusz Berger, Kraków, Szewska 10. Tel. 305.
Ceny niskie. **Żądajcie cenników i spisów darmo i opłatnie.**

Nowość! w tutkach cygaretowych pod nazwą: **„TEMIDA"** poleca znana ze swych wyrobów Fabryka Rudolfa Herliczki W KRAKOWIE. **Nowość!**



Zdzisław Zdanowicz, Kraków
ulica Sławkowska L. 3. — Hotel Saski — Telefon 516.

Magazyn galanteryjny.
Skład bielizny, kapeluszy, obuwia i przyborów do podróży.



AUSTRYACKI PRZEMYSŁ LINOLEUM I CERAT,

Telefon 813. **Kraków, Rynek 10.** Telefon 813.

Specyalne Składy: Praga, Berno, M. Ostrawa, Wiedeń, Preszburg, Graz, Opawa.

Korkowe Dywany, Chodniki i Dywaniki, Ceratowe Serwety, Fartuchy, Torby na kupno, Ceraty dla tapicerów, introligatorów i siodlarzy. Kokosowe chodniki i roogżki. Tapety-Linkrusta. Torby i teczki szkolne. Płachty nieprzemakalne, Pasta do odświeżania Linoleum i Posadzek.

Artykuły gumowe jako to: chirurgiczne, Poduszki podróżne, Wanny, Gąbki, Prześcieradła, Czepki kąpielowe, Zabwki, Piłki nożne i tenisowe, Szachy.

Kalosze Rosyjskie i Angielskie. **Oryginalne angielskie Płaszcze gumowe.**

Živnostenska Banka pro Čechy a Moravu v Praze.

Rok założenia 1868. Główna siedziba w Pradze.

FILIE: w Bernie, Budziejowicach, Iglawie, Krakowie, Lwowie, Mor. Ostrawie, Ołomuńcu, Pardubicach, Pilźnie, Prościejowie, Taborze, Tryeście i Wiedniu I, Herrengasse 12.

wpłacony kapitał akcyjny:

K. 40,000.000

Fundusze rezerwowe i ubezpieczające około:

K. 12,000.000

Živnostenska banka **wydaje czeki i akredytywy** na pewne miasta, lub akredytywy okrężne na więcej miejscowości, **jakoteż i akredytywy światowe,** płatne we wszystkich znaczniejszych miastach kuli ziemskiej.

Mając rozgałęzione i ożywione stosunki z wszystkiemi środowiskami świata handlowego, jest bank w możności załatwienia wypłat w obcej walucie we wszystkich krajach, punktualnie, w najkrótszej drodze i na warunkach najdogodniejszych.

Przez swój od szeregu lat istniejący, znakomicie zorganizowany

Oddział Amerykański

utrzymuje bank rozgałęzione pierwszorzędne stosunki z znaczniejszemi miastami Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, **co umożliwia mu szybkie i dogodne** uskutecznianie **wypłat pieniężnych i wysyłek do Ameryki** i z Ameryki do Austro-Węgier, załatwianie inkasa spraw spadkowych i innych należytości, na podstawie pełnomocnictw i kwitów, **inkaso książeczek wkładkowych** i wszelkich spraw prawnych dla Emigrantów.



Lekarz: Tak mój panie, skoro chcesz być **bezwarunkowo** zabezpieczonym, kup sobie **„OLLA“ najnowszą hygieniczną specyalność gumową** gdyż **„OLLA“**, jak wyniki dzisiejszej nauki **stwierdziły**, jest najlepszym środkiem hygienicznym ze wszystkich dziś istniejących, **wypróbowanym, przez lekarzy poleconym. — Dwuletnia gwarancya dla każdej sztuki.**

Pan: Ależ konsyliarzu, gdzie mogę nabyć **„OLLA“?**

Lekarz: **W każdej aptece i w każdej lepszej drogueryi** dostaniesz pan tuzin **„OLLA“** w czterech cenach po koron **4·—, 6·—, 8·— i 10·—.** Gdyby gdzieś **„OLLI“** nie było na składzie lub zalecano inną markę należy odmówić.

Nalegaj Pan atoli, aby dostawca Padski dał Panu **„OLLĘ“** i nie daj się Pan zbyć jakiemś mniej wartościowem naśladownictwem, które za tę samą cenę co **„OLLA“** bywa polecanem przez więcej jak 2a00 lekarzy. Jeżeli aptekarz lub droguerzysta nie posiada w swym interesie **„OLLĘ“**, to zwróć się Pan natychmiast wprost do głównego składu

„OLLA“ Fabryka hygienicznych artykułów gumowych

Wiedeń, I/309 Praterstrasse 57

a my Panu natychmiast świeży i doborowy materyał ewent. wolny od opłaty nadeślemy. Wskutek spec. naszych zabiegów, otrzymuje **„OLLA“ idealną delikatność i trwałość**, jakiej **żaden** fabrykat nawet w przybliżeniu dotąd nie osięgnął.

Cenniki, pouczenia i źródła nabycia gratis.

Między innymi można nabyć **„OLLĘ“ we Lwowie: w aptekach** P. Mikolascha, J. Bei era, Ad. Aschkenazego, N. Dobrzańskiego, F. Dewechy'ego, J. Piepes-Poratyńskiego, Ant. Ehrbara, **w drogueryach:** Jak. I echena, Ign. Schrenzla, H. Grünspanna, Al. Hübnera, A. Bea coka.

W Krakowie w aptekach: M. Pronia, K. Wiszniewskiego, N. Gralewskiego, **w drogueryach** R. Drobnera, Reima i Ski, Zopota i Ski, J. Linka, A. Pa huckiego, J. Wiśniewskiego **w Bochni:** u J. Michnika; **w Brodach:** u L. Kallira; **w Jarosławiu:** J. Wyszatyckiego, V. Brillanta; **w Stanisławowie:** M. Bibringa; **w Kołomyi:** E. Stenzla; **w Tarnopolu:** A. Krzyżanowskiego, Dr. Franzosa, O. Hellmanna; **w Tarnowie:** J. Niesiołowskiego, W. Bracha; **w Przemyślu:** M. Schwarza i F. Wojciechowskiego etc.

Kalendarze Ungra na rok 1910

KALENDARZ WARSZAWSKI ILLUSTROWANY

POPULARNO-NAUKOWY

Wydany obecnie kalendarz na rok 1910 liczy 65-ty rok istnienia, mieści w sobie artykuły celniejszych pisarzów, obszerny dział informacyjny i adresowy, taryfę domów, przepisy pocztowe i telegraficzne.

Cena kalendarza kop. 60. Z przesyłką pocztową **kop. 85.**

Dziennik cena egzempl. ozdob. oprawionego kop. **30.** Z przesyłką poczt. kop. **45.**

Do nabycia w Biurach Ungra: Wierzbowa 8, wprost Niecałej **i Aleja Jerozolimska 78,** oraz **we wszystkich księgarniach.** Osoby zamieszkałe na prowincyi, po nadesłaniu **rubla jednego** na powyższe **dwa** kalendarze, otrzymają **franko.**

Nie można taniej! Zamiast 60 koron **tylko kor. 5·50.** Zegar Ankier (nie cylinder). Tylko za 5 kor. 50 hal. wysyłamy po otrzymaniu zamówienia bez zadatku elegancki, trwały, męski kieszonkowy zegarek, z czarnej stali, angielskie, chód dźwięczny, nakręcany uszkiem raz na 36 godz. z ochran. szkłem. Ceny tylko na czas krótki kor. 5·50, 2 szt. kor. 10·—, 3 szt. kor. 14·50, 5 szt. kor 24·—, 8 szt. kor. 36·—. Do każdego zegarka dodaje się gwarancyę na lat 16. Adres: Centr. skład Ang. zegarków **Wiedeń** 2/3, Austrya, ul. Unt.-Augartenstrasse Nr. 17-116, **Jakubowic.** Przesyłka 1 ko.

Kalosze rosyjskie i amerykańskie.

Wałeczki elastyczne, kit i gips do uszczelniania drzwi i okien od zimna.

ROGOŻKI KOKOSOWE, SZCZOTKOWE i ŻELAZNE.

OLIWY do maszyn i automobilów krajowe, mineralne i kaukazkie.

Oliwa lecerska i rzepakowa.

LATARKI stajenne i ręczne.

Wyroby szczotkarskie. Szczotki do czyszczenia sukien. Szczotki do zamiatania. Szczotki i aparaty do froterowania. Szczotki i aparaty do czyszczenia dywanów.

SIDOL do czyszczenia metali i przyborów i kuchennych.



Sanki (Rodle) sportowe

Sanki dla dzieci.

Sanki szwajcarskie z kier. i hamulcem

SKI (NARTY)

Laski bambusowe do Nart. — Obręcze śniegowe.

Polecają najtaniej

Reim i Ska, Kraków

RYNEK 37.

MYDŁA! **MYDŁA!**



1 karton 3 sztuk za koron 2·—.

Perfumy, mydła i pudry

Krajowe, francuskie i angielskie.

SCHAMPOO-TAROOL do mycia głowy i przeciw łupieżowi.

„ABARID“ krem i płyn przeciw zmarszczkom.

Mydła kwiatowe o silnych zapachach 1 karton 6 sztuk za koron **1·—**

MAURYCY LEBLANC.

WYDRĄŻONA IGŁA.

Tajemnicze przygody Arseniusza Lupina.

16 (Ciąg dalszy).

Nie byłoby więc najmniejszego dowodu materyalnego o pobycie Lupina w zamku Iglastym i można było odrzucić twierdzenie Beautreleta i jego ojca, Valmerasa i panny de Saint Veran, gdyby w końcu nie odkryto w pokoju, znajdującym się w sąsiedztwie pokoju młodej panny, kilku wspaniałych bukietów, do których przypięte były karty wizytowe Arsenjusza Lupina. Bukiety, wzgardzone przez nią, były już powiędłe, zeschnięte... Przy jednym z nich oprócz biletu był i list, którego Elżbieta nie zauważyła. Gdy go po południu rozpieczętował sędzia śledczy, znaleziono w nim dziesięć stron próśb, błagań, obietnic, rozpaczy miłości, która spotykała się tylko ze wzgardą i obrzydzeniem. List ten kończył się tak: „Przyjadę w środę wieczorem. Namyśl się do tego czasu, Elżbieto. Ja już nie chcę dłużej czekać. Jestem zdecydowany na wszystko“.

Wieczór środowy był ów wieczór, w który Beautrelet ocalił pannę de Saint-Veran.

Pamiętny jest wybuch ogólnego entuzyazmu, z jakim świat cały przyjął tę nieoczekiwaną wiadomość: panna de Saint-Veran jest wolna! Młoda panna, której pożądał Lupin, na którą nakładał swe machiawelskie sieci, została wyrwana z jego szponów! Wolny jest również Beautrelet ojciec, którego sobie Lupin wybrał za zakładnika, by mieć spokój od jego syna! Wolni obaj jego więźniowie! Tajemnica Igły zbadana, poznana przez cały świat! Tłumy cieszyły się, wyśmiewając pokornego awanturnika. „Miłość Lupina“! „Łzy Arseniusza“! „Zakochany włamywacz“! Były to tytuły, wykrzykiwane na bulwarach przez roznosicieli dzienników. Zasypywana pytaniami, nagabywana przez reporterów Elżbieta, odpowiadała z wielką ostrożnością. Nie zdało się to jednak na nic, gdyż list ten, bukiety kwiatów i cała ta żałosna awantura, była powszechnie znaną! Lupin odrazu został wyśmiany, wyszydzony, strącony ze swego piedestału! Beautrelet natomiast stał się bożyszczem. Wszystko widział, wszystko zapowiedział, wszystko wyjaśnił. Zeznania, złożone przed sędzią śledczym przez pannę Saint-Veran, dotyczące jej porwania, potwierdziły w najmniejszych szczegółach hypotezę, postawioną przez młodego człowieka. Wszystko, co stało się w rzeczywistości, zostało dokładnie przez niego odgadnięte. Lupin znalazł godnego siebie rywala, a nawet mistrza.

Beautrelet wymógł na swoim ojcu, aby przed udaniem się w góry Sabaudzkie, wypoczął kilka miesięcy na słońcu i odwiózł go razem z panną de Saint Veran w okolice Nicei, gdzie hrabia de Gesvres wraz z swą córką Zuzanną zamieszkał dla spędzenia zimy. Na drugi dzień przyjechał tam do swych nowych przyjaciół Valmeras z matką i w ten sposób tworzyli oni małą kolonię, zgrupowaną dokoła willi hrabiego, której strzegło kilku ajentów, umyślnie wynajętych przez pana de Gesvres.

W początkach października, Beaubrelet, uczeń retoryki, powrócił do Paryża, by wziąć się do nauki i przygotować do egzaminów. Tym razem życie jego zaczęło się spokojnie i bez żadnych wypadków. Cóż zresztą mogło się zdarzyć? Czyż wojna nie została zakończona? Tego zdania był zapewne i Lupin i musiał się pogodzić z dokonanym faktem, gdyż pewnego dnia zjawiły się i dwie następne jego ofiary, Ganimard i Sherlock Holmes. Powrót ich jednak przeszedł prawie niepostrzeżenie. Na *quai Orfevres* wprost Prefektury policyi, znalazł ich uśpionych i związanych jakiś robotnik.

Po tygodniu najzupełniejszego odurzenia, powrócili wreszcie do swych władz umysłowych i opowiedzieli — a raczej tylko Ganimard opowiadał, gdyż Holmes pogrążył się w milczeniu — iż na pokładzie jachtu Jaskółka odbyli morską podróż dokoła Afryki, podczas której mogli się uważać za wolnych z wyjątkiem tylko godzin, kiedy jacht zatrzymywał się w przystaniach, a oni byli pilnowani bacznie w kajutach. O swojem wylądowaniu na *quai Orfevres* nie pamiętali nic, gdyż zapewne od kilku już dni byli uśpieni. To wypuszczenie ich na wolność było przyznaniem się do porażki, świadczył o tem sam Lupin, zaprzestając walczyć. Jeden jeszcze fakt potwierdził to bardziej wymownie: były to zaręczyny Ludwika Valmerasa z panną de Saint-Veran. Przebywając w zażyłości, jaką wytworzyły dla nich nowe warunki życia, młodzi ludzie pokochali się wzajemnie. Valmeras został podbity melancholijnym czarem Elżbiety, ona zaś po tych strasznych przejściach, pragnęc opieki i serca męskiego, poddała się wpływowi i energii tego, który w tak znacznej mierze przyczynił się do jej uwolnienia.

Z pewnym niepokojem oczekiwano dnia ślubu. Czy Lupin nie stanie znowu w zaczepnej pozycyi? Czy pogodzi się dobrowolnie z niepowetowaną stratą kobiety, którą kochał? Widziano kilka razy kręcących się koło willi podejrzanych osobników, a nawet Valmeras musiał pewnego wieczoru bronić się przed udającym pijaka mężczyzną, który strzelił do niego z rewolweru, lecz przebił mu tylko na wylot cylinder. Ceremonia ślubna odbyła się wreszcie w spokoju i Elżbieta de Saint-Veran została panią Ludwikową Valmeras. Związek ten zdawał się nadawać piętno trwałości zwycięstwu Beautreleta. Tak to przyjęła i publiczność, wśród której zrodziła się myśl uczczenia go uroczystą ucztą. Projekt ten przyjął się zaraz. W przeciągu dwóch tygodni zapisało się na nią przeszło trzysta osób. Z każdego liceum brało w niej udział po dwóch delegatów z klasy retoryki.

Przybycie do sali bankietowej Beautreleta zostało powitane niemilknącemi brawami i oklaskami. Te oznaki radości ogólnej, a zwłaszcza toasty w czasie uczty, w których wychwalano jego przenikliwość i wyższość nad wszystkimi najsławniejszymi ajentami całego świata, zakłopotały go, lecz zarazem i wzruszyły. Przyznał się do tego otwarcie w prostych słowach, które się wszystkim nadzwyczaj podobały i ze wzruszeniem dziecka, które się rumieni, gdy na nie patrzą, wyraził całą swą radość i dumę. Choć był bardzo rozsądny i skromny, doznał wtedy niezapomnianych chwil upojenia swą sławą. Uśmiechnął się szczęśliwy do swych kolegów z liceum, do swych przyjaciół, do swego ojca, do Valmerasa i hrabiego de Gesvres, którzy umyślnie przybyli, by być świadkami jego uznania. Gdy kończył mówić i w ręce trzymał jeszcze kieliszek, nagle z końca sali dolatuje jakiś szum i ujrzano, jak ktoś energicznie gestykuluje, trzymając w ręku jakiś dziennik. Nastąpił spokój, dziennik jednak podawano sobie z rąk do rąk i ze wszystkich stron co kilka chwil podnosiły się okrzyki:

— Czytać! czytać głośno!

Od głównego stołu wstał ojciec Beautrelet, poszedł po dziennik i podał go synowi.

— Czytać! czytać! — wołano coraz głośniej. Drudzy uspakajali wołających.

— Słuchajcie! zaraz będzie czytał!... słuchajcie!

Beautrelet stojąc, zwrócony twarzą do publiczności, szukał oczyma w wieczornym dzienniku artykułu, który wzbudził tak żywe zainteresowanie i gdy nagle ujrzał tytuł, podkreślony niebieskim ołówkiem, wyciągnął rękę, by prosić o spokój i przeczytał wzruszonym głosem o zdumiewającym odkryciu, które w niwecz obracało jego wysiłki, obalało jego poglądy o Wydrążonej Igle i wykazywało daremność jego walki z Arseniuszem Lupinem.

„List otwarty pana Massitana, członka Akademii.

„Szanowny Panie Redaktorze!

„Dnia 17 marca 1679 roku ukazała się niewielka książeczka pod tytułem: Tajemnica Wydrążonej Igły.

„Cała prawda po raz pierwszy wyjawiona. Sto egzemplarzy wytłoczonych przezemnie dla nauki dworu.

„Tegoż dnia o godzinie dziewiątej rano autor, młody człowiek dostatnio ubrany, lecz którego nazwisko zostało nieznanem, zaczął odwiedzać wybitniejsze osobistości Dworu, by złożyć im swą pracę. O dziesiątej godzinie, gdy zdołał zaledwie być w czterech miejscach, został zatrzymany przez kapitana straży, który zaprowadził go zaraz do gabinetu króla i natychmiast udał się na poszukiwanie rozdanych egzemplarzy. Gdy sto egzemplarzy zostało zebranych, policzonych i starannie sprawdzonych, król rzucił je sam do ognia płonącego na kominku, zachowując dla siebie tylko jeden tom. Potem kazał kapitanowi straży odprowadzić autora książki do pana de Saint-Mars, który zamknął swego więźnia naprzód w Pignerol, a potem w fortecy na wyspie Sw Małgorzaty. Człowiek ten był widocznie nie kim innym, jak owym sławnym człowiekiem w Żelaznej Masce.

„Prawda nigdy nie była znaną, a przynajmniej część prawdy, gdyby obecny w gabinecie kapitan straży nie skorzystał z chwili, gdy król się odwrócił i nie wyciągnął z kominka jednej książki, zanim objęły ją płomienie.

„W pół roku potem kapitan został znaleziony nie żywy na drodze z Gaillon do Mantes. Zabójcy ogołocili go ze wszystkiego, nie zauważyli jednak w prawej kieszeni ubrania dużego brylantu najczystszej wody i wielkiej wartości. W papierach jego znaleziono małą notatkę. Nie wspomniał w niej o książce wyrwanej z płomieni, lecz wprost podawał treść pierwszych rozdziałów. Chodziło o sekret, znany królom Anglii, utracony potem przez nich, gdy korona biednego szaleńca Henryka VI przeszła na głowę księcia Jorku, odkryty królowi francuskiemu Karolowi VII przez Joannę d'Arc i który to sekret, gdy stał się tajemnicą państwową, przechodził od monarchy do monarchy w liście umyślnie za każdym razem pieczętowanym i który znajdowano zawsze przy łożu umierającego z takim napisem:

„Dla króla Francyi“. Sekret ten odnosił się do miejsca przechowywania niezmiernego skarbu, posiadanego przez królów i który z wieku na wiek coraz bardziej się pomnażał.

„W sto czternaście lat później Ludwik XVI, będąc więźniem w Temple, wziął na bok jednego z oficerów, którzy mieli pilnować rodziny i rzekł mu:

— Pan, zdaje się, miał za panowania mego pradziada jednego ze swych przodków w straży królewskiej w stopniu kapitana?

— Tak, sir!

— A czy pan byłby człowiekiem... człowiekiem, który...

„Zawahał się. Oficer dokończył zdania:

— Któryby nie zdradził? Oh! sir...

— Proszę mnie w takim razie słuchać.

„Wyjął z kieszeni małą książeczkę, z której wyrwał jedną kartkę. Zmienił jednak zaraz swój zamiar:

— Nie, lepiej będzie, jeżeli przepiszę...

„Wziął wielki arkusz papieru, z którego oderwał niewielki tylko skrawek, na którym przepisał pięć wierszy punktami, liniami i cyframi, tak jak były one na kartce drukowanej. Kartkę tę zaraz spalił, skrawek zaś papieru z przepisanemi znakami złożył we czworo, zapieczętował czerwonym woskiem i wręczył oficerowi.

— Po mej śmierci proszę to wręczyć królowej i powiedzieć te tylko słowa: „Od króla dla Waszej Królewskiej Mości i dla Królewicza...“ Jeżeliby nie domyślała się...

— Jeżeliby nie domyślała się...

— W takim razie pan doda: „Chodzi o sekret... o sekret Igły. Królowa będzie już wiedziała, co to znaczy...

„Mówiąc to, książkę rzucił do ognia na kominku.

„21 stycznia wstąpił na stos.

„Z powodu przeniesienia królowej do Conciergerie dopiero po dwóch miesiącach zdołał oficer wypełnić powierzone sobie zlecenie. Po podstępach udało mu się wreszcie pewnego dnia znaleść się w obecności Maryi Antoniny. Rzekł jej z naciskiem, by mogła odrazu pojąć doniosłość jego słów:

— Od ś. p. naszego Króla dla Waszej Królewskiej mości i dla królewicza.

„I wręczył jej zapieczętowany list.

„Królowa upewniła się, czy dozorcy nie patrzą, złamała pieczęcie, z początku zdawała się być zdziwiona widząc, tylko tajemnicze znaki, potem zaraz domyśliła się wszystkiego. Uśmiechnęła się gorzko i oficer dosłyszał te słowa:

— Dlaczego tak późno?

„Zawahała się. Gdzie schować ten niebezpieczny dokument? Otworzyła wreszcie swą książkę do nabożeństwa i otrzymany papier wsunęła między tekturę okładki, a okrywającą ją skórę.

— Dlaczego tak późno?... powiedziała...

„Istotnie, jest obecnie zupełnie pewnem, iż ten dokument, jeżeli miał przynieść ocalenie, to przybywał zbyt późno. W październiku przyszła kolej na królowę Maryę Antoninę, by wstąpiła na stos.

Oficer ten, przeglądając potem rodzinne papiery, znalazł rękopis swego przodka. Od chwili tej ogarnęła go jedna myśl i jedno pragnienie, by wyjawić tę dziwną tajemnicę. Przeczytał wszystkich autorów łacińskich, zagłębiał się w kronikach francuskich i sąsiednich narodów, badał biblioteki klasztorne, odcyfrowywał stare książki rachunkowe, kapitularze, i w ten sposób udało mu się zebrać kilka wzmianek.

„W trzeciej książce komentarzy Cezara do wojny z Gallami znajduje się wiadomość, że Viridovix, zwyciężony przez Gaja Tituliusa, został stawiony przed Cezara i za okup swój odkrył tajemnicę Igły...

„W traktacie z Saint-Clair-sur-Eple, zawartym między Karolem Prostakiem a Rollem, dowódzcą północnych barbarzyńców, znajduje się między tytułami Rolla i tytuł: władca tajemnicy Igły.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Zagadki do nagrody.

Arytmograf.

Ułożony przez K. Jasińskiego, Lwów.

Cyfry zastąpić literami. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, da imię i nazwisko polskiego poety.

15
14 18 17
13 23 17 24 17
10 16 17
10
9 13 16
12 17 3 22 17
16 11 18 22 21 7 13
3 22 1 13 7
8 7 17
7
12 17 18
6 13 18 18 17
10 22 17 2 18 17 7
20 1 13 16 1
19
8 3 17
4 11 7 17 10
13

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Inaczej zabawa. 3. Miasto w Prusach Wschodnich. 4. Rzeka w Rosyi. 5. Spółgłoska. 6. Ryba. 7. Tytuł turecki. 8. Ptaki podbiegunowe. 9. Przełożony plemienia w Arabii. 10. Dopływ Wołgi. 11. Spółgłoska. 12. Miasto na Podolu. 13. Żywica, używana jako lek lub kadzidło. 14. Nakrycie a konia. 15. Poeta niemiecki. 16. Spółgłoska. 17. Owad. 18. Pieniądz złoty. 19. Samogłoska.

Łamigłówka.

Ułożył J. T. Kraków.

Podane niżej wyrazy w tym samym porządku w tem sposób pod sobą podpisać, aby dwa pionowe rzędy liter obok siebie dały nam zdarzenie, którem zajmuje się obecnie cała Polska.

Philadelphia, Zborów, wezwanie, wydatek, pokojowa, koniak, zrąb, podanie, Kicki, Mazowsze, rewia, owca.

Logogryf.

Z następujących zgłosek:
al, bad, dal, de, de, dzi, e, e, fra, gu, hy, im, im, je, jew, ka, ka, kał, ke, ma, ma, ma, ma, mak, mierz, mo, mon, ni, no, ol, on, ra, ra, ro, saj, ski, so, ta, te, ty, wło, wol, za, zu
złożyć 13 wyrazów, których początkowe głoski czytane z góry na dół, dadzą pierwszą literę imienia i nazwisko artystki dramatycznej, a końcowe nazwę jednej z popisowych jej ról.

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto w Azyi. 2. Ostatni król zawojowanego państwa. 3. Niegdyś twierdza na Żmudzi. 4. Szata kościelna. 5. Zwierzę. 6. Prowincya i miasto w południowej Europie. 7. Patryarcha biblijny. 8. Zasłużony literat. 9. Bożek drugorzędny. 10. Poeta i powieściopisarz. 11. Jezioro w Królestwie Polskiem. 12. Wyspa na północy. 13. Znakomity malarz.

Zadanie konikowe.

Ułożyła H. Mokrzycka, Romanówka.

mi	go	a	cię	sta	bos	mo	łość
więc	ża	mi	kie	rza	zwy	czy	not
tro	łość	ko	wie	mi	la	mi	wa
mie	łość	ża	wo	chaj	cze	klej	ca
praw	nu	czło	bo	Bo	łość	mły	nu
krzep	cze	łość	wie	od	łość	ni	sta
mi	da	sza	mi	kry	czy	zgo	prze

Szarada.

Ułożył Mar. Szr. Nowy Sącz.

Gdy mię z przodu wymówicie,
Zwykle z owsa mnie robicie
I jedzenie macie tanie,
Mówiąc z końca, wtedy panie,
Jak się dosyć często zdarzy
Używają mnie do twarzy,
Aby pięknie wyglądały
I policzki zdobne miały!

Zagadka przysłowiowa.

Ułożyła M. Jezierska, Kraków.

Podane litery tak poprzestawiać, aby utworzyły znane polskie przysłowie:
Broda, Hus, cap, mu.

Zagadka.

Ułożył K. L. Czortków.

Kit, kat, Kadłubek, Kenty, kum, kos, koza, Koń, kot, kość, koc, kij, klub, kłos, krzew, kurz, zgroza.

Po jednej weź literze,
Z każdego słowa, a mieć będziesz męża,
Który za wolność dobywał oręża
I kraj swój kochał szczerze.

Szarada.

Ułożył W. Hostynek, Kraków.

Pierwsze litera. Trzecia i czwarta
Z włókien lub drutu, dobrze jest zwarta,
Drugie i piąte znajdziesz w ogrodzie
Do przypraw służą. Gdy struny w zgodzie,
Trzecie i piąte wynurzą żałość
A imię męskie daje ci całość.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył W. Rapacz, Żarki.

Z podanych liter utworzyć znane przysłowie:
Noe, ono, owo, słowo, wij, wille, wino, wozi.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Zofii Rygier — Nałkowskiej* **Rówieśnice.** Powieść.